

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok V. ŁÓDŹ, 8.VII.62 r.

Nr 27 (227)

Cena 1 zł

turystyczna

POLSKA B



JAN BRZOZOWSKI

Spróbujmy może określić przedmiot naszej dyskusji. Pojęcie wypoczynku mieści w sobie wiele elementów. Po pierwsze: wycieczki, masowe, pociągami, autokarami, rowerami, itd. Po drugie: wczasy i letniska, organizowane przez każdego, kto ma na to jakieś środki finansowe. Po trzecie wczasy lecznicze. Po czwarte: turystyka kwalifikowana. Po piąte: wypoczynek po pracy i świąteczny, to co na Zachodzie nazywa się weekendem. Wypoczynek po pracy, to taki, który pochłania na przejazd tam i z powrotem nie więcej niż 2 godziny. Wypoczynek świąteczny to taki, na który potrzeba nie więcej niż 5 godzin podróży w obie strony.

W artykule red. Uchmana, który rozumiem jako zagajenie naszej dyskusji, mówi się, że wypoczynek w tym węższym rozumieniu, czeka na swego organizatora, wspomina się też o jakimś organie kierowniczym w skali miasta. Pragnę zwrócić uwagę, że od października 1960 roku obowiązuje akt prawny o charakterze państwowym, który koncentruje funkcje kierownicze w zakresie turystyki i sportu w jednych rękach, mianowicie w rękach Głównego Komitetu Kultury Fizycznej i Turystyki oraz jego agendach terenowych. Organizatorów wypoczynku jest wielu. Są to związki zawodowe, organizacje polityczno-społeczne i młodzieżowe. Wydałoby mi się, że komitety kultury fizycznej i turystyki są po to powołane, żeby inicjować i koordynować działalność wszystkich organizatorów wypoczynku. Niestety, akty normatywne, dotyczące KKFIT nie precyzują, na czym ma polegać ich kierownicza funkcja, wobec rozlicznych organizatorów wypoczynku. Istnieją między nami współzależności zwyczajowe, umowne, ale prawnie stosunki między nami nie są nigdzie określone. Nie ma żadnego do-

kumentu, który by mówił czarno na białym, iż jest obowiązkiem KKFIT oddziaływanie, egzekwowanie, nadzorowanie, kontrolowanie, słowem to wszystko, co wiąże się z jakąś konkretną odpowiedzialnością za godziny wypoczynku. Mamy więc z jednej strony wielu gospodarzy wypoczynku i z drugiej — działający na zasadzie dobrej woli urzędowy organ. Pytanie: jak długo taki stan rzeczy ma jeszcze trwać? Tymczasem istnieje wiele spraw wymagających gruntownego przewentylowania i szybkiej decyzji.

Weźmy dla przykładu PTTK. To, co w artykule red. Uchmana mówi się o tej organizacji, jest słuszne i dobrze byłoby, gdyby te uwagi stały się punktem wyjścia do zasadniczej dyskusji o PTTK, i to dyskusji w skali krajowej. Po co to towarzystwo w ogóle istnieje, jakie właściwie są jego zadania, skoro zewsząd i ciągle słyszy się narzekania na nie, przeważnie

Dalszy ciąg
na str. 4



Modelka prezentuje galanterię metalową. Z pracowni prof. Leny Kowalewicz
Fot. W. Paryś

Z WYSTAWY PRAC ABSOLWENTÓW
WYŻSZEJ SZKOŁY PLASTYCZNEJ

Patrz także na str. 5

WIESŁAW MACHEJKO

Szczeciński GRYF szykuje się do skoku

W Szczecinie opowiadają, że prezes KOMITETU do Spraw Radiofonii i Telewizji Włodzimierz Sokorski po obejrzeniu tutejszej testacji i studia powiedział, iż taki sam ośrodek widział w małej chińskiej wiosce...

Prezes jest dowcipny.

Ośrodek szczeciński urodził się 27 kwietnia 1960 roku bez pomocy położnej ze Stolicy. Grupa inżynierów z Radiostacji Szczecińskiej sama zaczęła dłużyć przy stworzeniu nadajnika. Na dachu Domu Odzieżowego zmontowano anteny, potem powstało towarzystwo wspierania telewizji, a liczne przedsiębiorstwa i instytucje jak Stocznia im. Warskiego, Zarząd Portu, Polska Żegluga Morska, Wojewódzka Rada Narodowa wspomogły inicjatywę finansowo. Dewiz na zakup części aparatury dostarczył Związek Zawodowy Marynarzy i Rybaków Morskich.

Tak więc w okresie żywiołowego powstawania sieci telewizyjnej w kraju na jego północno-zachodnim krańcu wyskoczył ośrodek na pewno w Stolicy nie planowany. Stąd traktuje się go dotąd jak niesłubne dziecko. Aparatura telekana — ze starszego brata w Pałacu Kultury i Nauki. Dwie kamery przemysłowe typu ALFA, polski nadajnik o zasięgu 50 km, dwa etaty dziennikarskie. Pozostali nieliczni pracownicy na etatach innych przedsiębiorstw. Kierownik muzyczny szczecińskiej TV na etacie kierownika hotelu robotniczego huty „Szczecin” Srednia cena audycji publicznej: autor, konsultant, wykonawca, realizacja — 365 zł.

Ale burzliwy rozwój telewizji staje się już dziś silniejszy od planowania. W Szczecinie istnieje po-

Dalszy ciąg na str. 2

WIESŁAW BEK



po wieczornej Moskiewie



Moskwa w czerwcu

Czy słucha Pan, Panie Redaktorze, niedzielnych koncertów życzeń muzyki radzieckiej? Jeśli tak — zapamiętał Redaktor zapewne nazwisko ormiańskiego kompozytora — Arno Babadżaniana. „Ognie Erewania”, „Karlove Vary”, „Pieśń pierwszej miłości” i „Po wieczornej Moskiewie” — rozbrzmiewają nader często z radiowego głośnika. Są melodyjne, rytmiczne, trochę egzotyczne. Podobają się wiadać polskim słuchaczom, jeśli raz po raz proszą o ich powtórzenie.

Przypominam nazwisko tego wybitnego kompozytora ormiańskiego dlatego, że moje kolejne spotkanie z Moskwą przebiega właśnie pod znakiem jego muzyki. Więcej — przyznam się, Redaktorze, szczerze, że melodia uroczej piosenki: „Po wieczornej Moskiewie” po

prostu mnie prześladowa. W wolnych chwilach, kiedy nogi nie chcą już nosić po rozległej stolicy, nastawiam w pokoju „Centralnej Gostinicy” płytę — tu muszę się pochwalić — z dedykacją kompozytora, i słucham, słucham bez końca...

A wszystko zaczęło się jeszcze w pociągu. Kiedy zmęczony wielogodzinna jazdą, więcej dla rozrywki niż z głodu powędrowałem do wagonu restauracyjnego — los zrzucił, że znalazłem miejsce koło radzieckiego oficera, który z kilkudziesięcioma innymi wracał po 5 latach z Berlina. Od „Rarytasa” — do radzieckiego koniaku i już nawiązała się serdeczna rozmowa. Gdy do-

Dalszy ciąg
na stronie 2

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

prof. dr
**STANISŁAWEM
ZYCHEM**
KIEROWNIKIEM ZAKŁADU
METEOROLOGII, KLIMATOLOGII I HYDROLOGII
UNIwersytetu Łódzkiego

— truciznach w powietrzu

— Cieszę się, że będziemy mogli pomówić na temat najbardziej dzisiaj chyba interesującej czytelników tj. o pogodzie...

— Byłoby tylko nie o prognozie pogody, gdyż z tym nie mamy nic wspólnego. Nasza specjalizacja to — klimat miast i ośrodków przemysłowych, wpływ zanieczyszczenia atmosfery na zdrowie człowieka, budowa zbiorników retencyjnych, układy urbanistyczne nowo powstających miast lub ich przebudowa oraz wpływ tego wszystkiego na miejscowe warunki klimatyczne. Interesują nas także zagadnienia hydrologiczne i hydrograficzne szczególnie okręgu łódzkiego (poznajcie ścieków powierzchniowych, wód gruntowych itp.), badania jezior, a także cały szereg innych zagadnień wynikających z urbanistyki i rozwoju przemysłu.

— Czy można prosić Pana Profesora o bardziej dokładne sprzezwowanie związku przyczynowego między meteorologią i klimatologią a urbanistyką i przemysłem?
— Przemysł rozbudowuje się dla człowieka. Często jednak myślimy o dobrobycie społeczeństwa nie zwracamy dostatecznej uwagi na to, że przy niewłaściwej lokalizacji ośrodków przemysłowych, niszczyliśmy zdrowie ludzi. Zadymienie, zapylenie miast, zanieczyszczenie atmosfery gazami pogarsza zdrowie ludzkie, a bardzo często powoduje nieodwracalne szkody w ustroju człowieka. I w tej dziedzinie właśnie mamy wiele do powiedzenia opierając się na naukowych założeniach klimatologii.

— Czy należy rozumieć, że zakład sprawuje nadzór nad projektami urbanistycznymi lub uprzemysłowienia ośrodków w kraju?

— Ależ nie! Wskazujemy tylko jak należy lokalizować obiekty przemysłowe, aby były one jak najmniej uciążliwe dla miasta, postulujemy dokonanie pewnych zabiegów technicznych i technologicznych, które by zmniejszyły tę uciążliwość a także uczymy — jak należy wykonywać naturalne samooczyszczanie się atmosfery przez odpowiednią zabudowę, zadrzewienie itp.

— Interesuje nas, oczywiście Łódź...

— Łódź położona jest na krawędzi wyżyny łódzkiej. Wskutek tego jest ona, a zwłaszcza jej śródmieście, mocno zasłonięta od wiatru. Niestety, ta zaciśniętość Łodzi sprzyja bardzo zanieczyszczeniu atmosfery, zadymleniu itp.

— Jaki jest najbardziej uciążliwy i szkodliwy dla łódzian zakład przemysłowy w naszym mieście?

— Elektrownia i Gazownia, zlokalizowane w zaciśniętym i mało przewietrzonym śródmieściu, bardzo poważnie zanieczyszczają atmosferę.

— Są przecież różnego rodzaju urządzenia odpylające, którym można uniemożliwić każdy komin?

— Owszem, w tym jednak rzecz, że Łódź ma zbyt wiele kominów... Nie taka to prosta rzecz uniemożliwić je od razu, po tylu latach zanieczyszczenia.

— Jak przedstawia się krajowy plan oddymienia miast?

— W pierwszej kolejności — Śląsk.

— A Łódź? Przecież sam Pan Profesor przyznał, że nasze miasto ma bardzo zanieczyszczoną atmosferę...

— Priorytet dla Śląska został wywalczony przez Woj. Komitet PZPR i Woj. Radę Nar. w Katowicach.

— Słowem, jedynym na razie naszym ratunkiem ma być Elektrownia?

— Tak. Podłączenie części łódzkich fabryk do EC2 znacznie zmniejszy zapylenie miasta.

— Ale EC2 odpyła i równocześnie zatrzyma atmosferę gazami spalinowymi?

— Owszem. Przy spalaniu węgla dostaje się do atmosfery dwutlenek siarki, gaz silnie toksyczny, poza tym pylna na miano samochodowe gazy spalinowe, oraz produkty uboczne utleniające się z Zakładów Włókien Sztucznych jak dwusiarczek węgla oraz siarkowodór. Można było znaleźć ponadto o wiele stosowniejszą lokalizację dla tego obiektu.

— W jaki sposób można choć częściowo naprawić błędy urbanistyczne łódzkiej i wpłynąć przez to na zmniejszenie zanieczyszczenia atmosfery w mieście?

— Przez zakładanie urządzeń filtrujących, zmianę procesów technologicznych w przemyśle, zwiększenie przeźwierności miasta, właściwą lokalizację nowych obiektów przemysłowych, oraz zakładanie pasów zieleni i pielęgnowanie jej. Zielenią możemy sterować i regulować ruchy powietrza podobnie jak formą zabudowy domów. Jest ona filtrem mechanicznym i biologicznym dla zanieczyszczeń. W liściach odkładają się też zanieczyszczenia gazowe np. dwutlenek siarki. Plan urbanistyczny Łodzi uwzględnił te momenty. Odpowiednie opracowania do tego planu zostały wykonane właśnie przez nasz zakład. Ingerujemy także w plany urbanistyczne województwa. Pod wpływem naszych opracowań podjęto uchwałę KERM o przeniesieniu ludzi z przedmieścia „Kaczków” w Tomaszowie Mazowieckim.

Miło nam o tym słyszeć. W czym się przejawia udział łódzkiego Zakładu Klimatologii Krajowej?

— Wraz z rozwojem przemysłu powstaje zagrożenie regeneracji ustroju ludzkiego, a więc zagrożenie zdrowia i wypoczynku. Jestem konsultantem w Instytucie Balneoklimatycznym w Poznaniu i członkiem Rady Naukowej tego Instytutu. Centralnym Zarządzie Uzdrawisk, w Łodzi i w Warszawie przy Ministrze Zdrowia. W naszym Zakładzie pracujemy nad klimatem Krakowa, Tarnobrzelskiego Okręgu Siarkowego, Płockiej Petrochemii, a ostatnio prowadzimy konsultacje w związku z projektem budowy zakładów azotowych w Puławach.

— To ogrom roboty. Czy starczy Panom czasu na zajęcie się sprawami Łodzi, w związku z projektami dalszej rozbudowy przemysłu chemicznego?

— Łódź jest naszą stałą klijentką. Nie jest też ona, najmniej zdrowym miastem w Polsce. Bardziej zanieczyszczoną atmosferę mają miasta Śląska, a nawet Kraków czy w przyszłości Piasek.

Rozmawiała
K. WYŻYKOWSKA

PO WIECZORNEJ MOSKWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

wiedział się, że jednym z celów mojej wizyty w Moskwie jest właśnie odwiedzenie Babadźanjan — uciechy się serdecznie. W chwilę później spod palców, przebiegających na klawiszach akordeonu, towarzyszącego mu w podróży, płynęły dźwięki muzyki Babadźanjan.

Po wieczornej Moskwie? — pomyślałem sobie — może to i trop dla dziennikarzy i turysty. Pójdę nim, gdy — jak mówią słowa piosenki — „naciągnie zmierzch, uciechnie gwar ulic, pogasną światła w oknach i tylko kuranty śpiewać będą z oddali”.

Nie, proszę nie myśleć, Redaktorze, że włączę się do roztańczonych lokalach. Nawet gdybym bardzo chciał, byłoby to niemożliwe. Większość z nich otwarta jest tylko do godz. 23 czasu moskiewskiego, a ruchliwe metro zasypia w pół godziny później.

Idę turystycznym szlakiem, tyle tylko, że o spóźnionej porze, kiedy na Placu Czerwonym przed Mauzoleum Lenina nie ma już długiego węża ludzkiego, szepczącego wielojęzycznie, a mrowie szlachetnych kamieni, zgromadzonych w kremłowski skarbku w spuszczaniu po carach przestało oślepiać zwiedzających. Kiedy powoli usypia w ciemnościach rozsadzany przez 40 tysięcy arcydzieł i setki ikon skromny budynek Galerii Tretjakowskiej i w 50 jej salach jedynymi gośćmi są malarze od pięciu lat, na zamówienie jakiegoś domu kultury, kopiujący wiernie „Dziewczyna oświetlona słońcem” W. A. Sierowa. Kiedy wyszli już z majestatycznego gmachu opery po „Eugeniuszu Onieginie” ostatni widzowie, a w podgrzewanych wodach nowoczesnego basenu, gdzie

przez okrągły rok pod gołym niebem zazywać można rozkoszy kąpeli — nie ma już przysłowiowej żywej duszy.

Patrzę na bardziej kolorowy niż przed laty uliczny tłum, w męskiej połowie przykryty kapronowymi kapeluszami, o dużych rondach, w żeńskiej — roznieglizowane, zerkam na rozbliskujące kolorowymi neonami wystawy sklepowe, przeładowane artykułami rodzimej produkcji i szerokim — z Anglii, Niemiec — importem. Staram się wsłuchać w proble-



my moskwičan, poznać ich radości i codzienne kłopoty. Czy to jednak możliwe w milionowym tłumie?

Samoobsługowy autobus, w którym zawieszono pasażerem bilety, (rzecz — myślę — dla łódzkiego czytelnika ciekawa) wiezie w pobliżu „Gostinicy Ostankino”. Czy i ten odległy o 40 minut jazdy od centrum miasta hotel, który zawdzięcza swe powstanie Moskiewskiemu Festiwalowi Młodzieży, wypełniony jest do ostatniego miejsca w zwykłe, czerwcowe dni? Wiedzie mnie ciekawość, czy rzeczywiście w tej części przynajmniej ulicy Moskwa — Gorkiego, która czeka na wyburzenie, konieczne są same hotele? A tak właśnie zdecydowali moskiewscy urbanisci...

Goście „Ostankino” — mimo spóźnionej godziny — wyłegli na ulice. Szerokością chodnika podążają w stronę terenów wystawowych, ulubionego miejsca spotkań moskwičan. Trafisz tu, choćby pozostało ci ze zmysłów tylko powonienie. 40 tysięcy krzewów róż, rozrzuconych wśród 79 pawilonów, wskaże ci nieomylnie drogę. Jeśli natomiast poświęciłeś księżyc, w jego poświacie w całej swej okazałości stanie przed tobą pomnik rzeźbiarza Muchiny, a nieco dalej zapali się trzema kilogramami szarego złota piętnaście postaci, symbolizujących republiki radzieckie.

Tu, gdzie 20 milionów par oczu rocznie natrętnie świdruje wszystko, co radzieckie na ziemi i w kosmosie, Moskwa wyznacza sobie wieczorne rendez-vous.

Na laweczce, z dala od wielkomiejskiego zgiełku — wysmienity relaks. Można też poplotkować ze znajomymi o kosmicznej garderobie Gagarina, zamkniętej dla potomności hermetycznie w szklanej gablocie, a szczególnie modnym tam przerażająco pomarańczowym „garniturze”, o gipsowej fotografii Łajki, która jako jedyny obraz wciąż podróżującego w kosmosie pasażera pozostała na ziemi, a czasem może i ponarzać na kłopoty zwykłego dnia.

Można też — niech się Pan Redaktor nie śmieje, list musi być przecież z happy endem — usłyszeć z głośnika melodię piosenki: „Po wieczornej Moskwie”...

Łączę pozdrowienia
WIESŁAW BEK

P. S. Czy nie zna Pan Redaktor sposobu na pozbycie się melodii-natręta? Byłbym bardzo wdzięczny za radę.

Szczeciński GRYF

szykuje się do skoku



Kamerzysta Lech Rydliński z TV

Dalszy ciąg ze str. 1

trzeba stworzenia dużego, sprawnego programowo ośrodka. I ten ośrodek będzie zbudowany, w większości za miejscowe pieniądze. Skąd ta potrzeba? Odpowiedź najpierw na pytanie, co to jest Szczecin?

Szczecin: to centrum zespołu portowego Szczecin-Swinoujście największego na Bałtyku, stojącego pod względem zdolności przeładunkowej w czołówce atrakcyjnych portów Europy. Służy transytowi towarowemu CSRS, Węgierskiej Republiki Ludowej. W roku bieżącym przeładunki transytowe osiągną 2,5 mln ton.

Szczecin: to centralna baza dyspozycyjna polskiego rybołówstwa dalekomorskiego i przetwórstwa rybnego, skupiającego 40 proc. przerobu złowionej ryby.

Szczecin: to poważny ośrodek szkolenia morskigo. Średni statek budujemy rok. Oficera nawigacyj-

nego kształcimy 8 lat. W gospodarce morskiej obserwuje się deficyt kadr. Propaganda szkolenia, napływ ludzi ze śródlądzia jest niezbędny.

Szczecin: to wielki ośrodek stoczniowy. Przygotowuje się tu budowę statków o tonażu do 25.000 DWT. W pobliskim województwie koszalińskim powstaje centrum budownictwa okrętowego — statków rybackich i frachtowców średniego tonażu.

Szczecin: to stolica polskich wczasów nadmorskich tej części Wybrzeża, słynących tradycjami „skandynawskiego lata” dającego spore dewizy.

Szczecin: to wielki ośrodek kulturalny. 200 pracowników artystycznych w operetce i Filharmonii, 100 w teatrach, 100 plastyków, 120 dziennikarzy, kilkunastu literatów poświęcających się głównie tematyce marynistycznej. Posiada też liczne zabytki architektury, wykopalska, itd.

To wszystko może gwarantować, że program, którym telewizja szczecińska chce wzbogacić antenę ogólnopolską będzie ciekawy.

W maju odbyło się tu posiedzenie szczecińskiego radiokomiteu, na którym omawiano propozycje programowe, oczywiście na przyszłość, gdyż teraz Szczecin jest odcięty od systemu TV, a to dlatego, że łączy się tylko jednokierunkowo i psują się bez przerwy. Cóż tedy proponuje Szczecin po uzyskaniu nowego studia o powierzchni 70 m kw. w gmachu radia, po uzyskaniu nowych łączy, bazy filmowej z laboratorium, i w końcu w roku 1964 wozu transmisyjnego?

Szczecin chce ofiarować antenie ogólnopolskiej przede wszystkim audycje publicystyczne związane z problemami gospodarki morskiej.

● programy popularne z dziedziny wychowania morskiego — dla najmłodszych.

● programy specjalne, służące współpracy ekonomicznej krajów socjalistycznych związanych z magistralą transportową Odry.

● audycje o sprawach rozwoju bazy turystycznej dla Polski południowej i centralnej, a także turystyki zagranicznej w pasie nadmorskich uzdrowisk i miejscowości wypoczynkowych.

● programy artystyczne: małe formy dramatyczne, okresowe transmisje z teatrów i koncertów w uzdrowiskach. Robi to już z powodzeniem telewizyjna sąsiadka Szczecina, niemiecka TV w Rostocku.

● reportaż filmowy morski z terenów działania polskiej dalekomorskiej floty (rybackiej (Morze Północne, Zatoka Gwinejska) oraz z tras linii regularnych i trampingowych Polskiej Żeglugi Morskiej ze specjalnym uwzględnieniem krajów Afryki zachodniej.

Możliwość realizacji tych zamierzeń są w Szczecinie wielkie. Np. na najciekawszych liniach PZM można będzie uruchomić małe ekspozytury filmowo-telewizyjne, co może przynieść w efekcie interesującą taśmotekę filmów marynistycznych i dokumentalnych.

Za rozbudową szczecińskiego ośrodka telewizyjnego przemawia jeszcze inny argument. Tuż pod jego bokiem rośnie konkurencja; telewizja NRD buduje w Rostocku wielki supernowoczesny ośrodek TV. Już teraz duża część województw szczecińskiego i koszalińskiego odbiera chętnie programy

TV NRD, stojące na wysokim poziomie technicznym i imponujące rozmachem. „Lapla” też audycje Berlina zachodniego i stacje szwedzkie. Tylko nasza rodzima TV w Szczecinie wciąż jest technicznym i programowym kopciuszkem. Stąd też na wielu szczecińskich dachach zauważać można po kilka systemów anten TV.

Wydaje się, że nie tylko obawa konkurencji, ale i możliwość nawiązania współpracy programowej między ośrodkami szczecińskim i rostockim każą uczynić z naszej TV godnego partnera. Nasi przyjaciele z NRD zrealizowali już np. cykl filmów reportażyowych o Szczecinie pt. „Bilanz an der Oder-Skizzen aus Szczecin”. My, niestety... nie możemy się odwdzięczyć...

Przez Sokorski widział kiedyś taki ośrodek w małej chińskiej wiosce. Ale należy wątpić, czy tamten miał tak wielkie i tak interesujące propozycje publicystyczne dla programu krajowego. Należy też wątpić czy miał pod bokiem tak znakomitego konkurenta?

Szczecin leży na końcu trasy łączy radiowych. Kiedy Poznań chce nadać audycję lokalną — program lokalny (filmowy) musi również nadawać Szczecin, bo Poznań przerywa łączność z Warszawą. Cóż za piramidalny nonsense! Audycje własne (b. rzadkie) Szczecina nadawane były zwykle ze studia w Poznaniu. Koszt delegacji przejazdów, noclegów pogrzebał tę inicjatywę. Teraz poczekajmy aż ruszą prace nad budową ośrodka TV.

Ale fakt jest faktem — szczeciński GRYF szykuje się już do wielkiego skoku na mały ekran.

WIESŁAW MACHEJKO

ROBERT GLUTH

W KRÓLESTWIE potrzebna rewolucja

W numerze 24 tygodnika „Odgłosy” z dnia 17. VI. br. ukazał się interesujący napisany przez p. Ewę Nurczyńską artykuł pt. „W królestwie DKF-ów”. Jaka szkoda, że żarliwość i dobra wola autora nie zaw sze idą w parze ze znajomością tematu! P. Ewa Nurczyńska miała chyba bardzo stronnictwo, subiektywnych informatorów — skoro w poważnym stopniu rozminęła się z tzw. prawdą obiektywną. Z żalem, iż tak się stało, przystępuję zatem do koniecznych moim zdaniem, wyjaśnień.

Na początku — kilka liczb i faktów: W zasięgu działania Łódzkiej Ekspozytury CWF istnieje obecnie 13 Dyskusyjnych Klubów Filmowych. Na zasadach określonych w umowach między Polską Federacją DKF i CWF, Kluby mają prawo do wypożyczenia wszystkich filmów, którymi Ekspozytura CWF dysponuje. Wśród tych filmów znajdują się również pozycje zakupione specjalnie dla DKF i nie przeznaczonych do szerokiej eksploatacji oraz filmy, które udośćwonił DKF przed premierami w kinach „zero-ekranowych”.

P. Ewa Nurczyńska pisze: „Dwa lata temu, wraz z powstaniem puli filmów zakupowanych specjalnie i wyłącznie do DKF, filmów ciekawych ale dość trudnych i nie przydatnych do komercyjnego wyświetlania — wstąpiła otucha w działaczy i członków klubów. Dziś obiecywana pula 20 filmów rocznie znacznie się skurczyła i marzenia działaczy DKF musiały obniżyć znacznie swój lot”. Tyle cytata. A prawda wygląda inaczej: w I półroczu br. przyznano specjalnie dla DKF 11 filmów, wśród których znalazły się między innymi: „Piętno śmierci” (Akira Kurosawa), „Testament Orfeusza” (Jean Cocteau), „Wieżeniec” i „Droga do nieba” (Bergman). Cóż więc tutaj się „skurczyło”? Można i na to odpowiedzieć: „skurczyło” się zainteresowanie DKF filmami ciekawymi ale dość trudnymi. „Piętno śmierci” wypożyczyły 3 DKF na 13 istniejących, „Droga do nieba” — 6 DKF, „Testament Orfeusza” — 9.

P. Ewa Nurczyńska pisze: „Nie daje się np. do klubów „Czystego szaleństwa”, „Skłóconych z życiem”, czy „Matki i córki”, bo zdaniem CWF zbyt to atrakcyjne pozycje, by je w konkurencji (w DKF) pokazywać... itd.”. Niezależnie od tego, że pojęcie mi trudno co autorka ma na myśli pisać „konkurencja” — należy się rzeczowe wyjaśnienie. W pierwszym półroczu br. zezwolono na przedpremierowe wyświetlanie w DKF 16 pozycji, wśród których znalazły się między innymi: „Dziewczyna z wyspy”, „Uczeń diabła”, „Z ręk do rąk”, „Z soboty na niedzielę” — a więc pozycje bardzo atrakcyjne, nad których brakiem p. Nurczyńska boleje.

Dodatkowe wyjaśnienie — z pogranicza logicznej oczywistości: nikt i nigdy nie zabraniał i nie zabrania Dyskusyjnemu Klubom Filmowym wypożyczać filmy atrakcyjne, którymi dysponują Ekspozytury CWF. Przedpremierowe oglądanie filmów w DKF nie jest chyba istotą działalności klubów i pęd do pokazów przedpremierowych wszystkich pozycji nie daje się niczym wytłumaczyć. Podstawowa masa kinomanów uczęszcza przecież do kin otwartych i nie może czekać na każdą premierę tak długo, aż wszystkie DKF film obejrzą. Ostatecznie, pula projekcji przedpremierowych w DKF jest chyba wielka, skoro na 16 wspomnianych pozycji żadna nie była zamawiana przez wszystkie DKF.

P. Ewa Nurczyńska pisze: „Mówi się wiele o szczytnej misji kształtowania gustów i uwalniania szerokiej widowni... Tę misję mogą spełnić głównie DKF”. Niestety — mogą, ale nie chcą. Z wyjątkiem jednego, jedyne DKF studenckiego, działającego np. przy kinie „Studyjnym” — żaden z istniejących klubów nie przejawia nawet chęci ożywionej działalności dyskusyjnej lub odczytowej. Większość klubów, to po prostu przypadkowe zgromadzenia ludzi, którzy chcą taniej i bez kłopotów obejrzeć sobie co atrakcyjniejsze tytuły przed normalną premierą w kinach. Stąd ta cała walka, której chyba nie należy popierać w takim kształcie, w jakim toczy się aktualnie. Ponadto nie wiem, czy autorka zastanowiła się kiedykolwiek nad charakterem polityki Federacji DKF. Dla mnie jest to praca bez planu, godząca w istotny sens działalności klubów. Czym bowiem wytłumaczyć brak DKF w środowiskach takich jak Związek Nauczycielstwa Polskiego? Środowiska mogące „transmitować” kulturę filmową nie są objęte działalnością Federacji, natomiast toleruje się bezkrytycznie kleczone ad hoc quasi — kluby wykazujące się jedynie „dobreścią”: milczeniem ponoć cennym jak złoto.

P. Nurczyńska pisze w pewnym miejscu: „Sprawa kultury filmowej polskich widzów jest dla CWF, jako placówki handlowej, obojętna”. Przechodząc do porządku dziennego, nad tym krzywdzącym, niepoważnym zarzutem — należy, gwoli prawdy stwierdzić, że CWF jako „placówka handlowa” nie ma poważnych kontrahentów wśród dużej części działaczy DKF.

„Aktwa” DKF (z małymi wyjątkami) wykazuje się gumami zbliżonymi do gustów bardzo przeciętnych odbiorców

(Dokończenie na str. 5)

Artykuł p. Roberta Glutha odznacza się na pewno równą żarliwością i dobrą wolą jak ten, z którym polemizuje. Zatem w imię dobrej sprawy należał się autorowi pewne wyjaśnienia. Być może, że dziennikarz, przeciw któremu wytacza p. Gluth, swoje cyfrowe argumenty, zbytnio zaufał sprawozdaniu z calorocznego działalności klubów, sekretarza generalnego Polskiej Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych S. Zielińskiego, zbyt zaufał głosom dyskutantów z całej Polski, którzy radzili nad sprawami Federacji dnia 20 maja 1962 roku w Warszawie. Miał chyba jednak prawo wierzyć faktom i opiniom, które później przytoczył w swoim artykule „W królestwie DKF-ów”, skoro padły one w obecności przedstawicieli centralnych władz Naczelnego Zarządu Kinematografii, Centrali Wynajmu Filmów i Centralnego Archiwum Filmowego. Mógłby dziennikarz zważyć w prawdę tych faktów i opinii, gdyby choć jedno słowo protestu padło z ust tychże przedstawicieli. Skoro jednak wyżej wymienieni milczeli, to swym milczeniem potwierdzali istniejącą sytuację. A p. Gluth czytając, jak wynika z jego wypowiedzi, bardzo uważnie mój artykuł zauważył w nim chyba następujące zdanie: „Przedstawienie tu problemy to echa VI Zjazdu Polskiej Federacji D.K.F.”... Skąd więc wiele kaśliwe i nieprzyjemne zdanie w artykule p. Glutha mówiące o „bardzo stronnictwo i subiektywnych informatorach”.

Chciałabym zwrócić uwagę, że zarzuty stawiane władzom polskiej kinematografii i ich polityce wobec D.K.F-ów nie były kierowane bezpośrednio przeciw Łódzkiej Ekspozyturze CWF, lecz przedstawiały sytuację klubów filmowych w całej Polsce. Zbyt dobrze, wbrew opinii p. Glutha, znam sytuację klubów łódzkich, aby stawiać zarzuty dyrektorowi M. Garlickiemu, którego dobra wola jest powszechnie znana.

Pisze p. Gluth o ogromnych możliwościach D.K.F., którym urzyszczenia się wszystkie filmy, jakimi dysponuje CWF, pisze również o 16 przedpremierowych pozycjach, które w I półroczu br. zezwo-

lono wyświetlać klubom. Oczywiście rzeczą jest to, że w moim artykule o tych 16 filmach chodziło, Pozwalam sobie wskazać przykłady tych filmów, które ze względu na swą dyskusyjność i walory artystyczne winny się w D.K.F. znaleźć. Chodziło mi o sensowny dobór przedpremierowego repertuaru w klubach, bo warto chyba zastanowić się nad tym, czy w D.K.F-ach pokazywać „Ucznia diabła” i „Z ręk do rąk” czy „Czyste szaleństwo” i „Skłóconych z życiem”.

wol naszych władz finansowych. Przykładowo powtarzać nie będę, przypominę tylko, że nie ograniczają się one do stosunku C.W.F. do D.K.F. Trzeba jednak pamiętać o tym, że „prozaiczne” sprawy filmowe mogą położyć najlepsze intencje działaczy klubowych, którym przypadła niełatwa rola kształcenia gustów widzów, których obecność decyduje o sytuacji materialnej klubu, a ta z kolei warunkuje jego istnienie. Gdyby D.K.F. były mniej zależne od finansowych kłopotów, formy ich pracy nie wzbudzały by tylu sprzeciwów p. Glutha. Dziwi mnie oburzenie autora na moje określenie C.W.F. jako placówki handlowej, dla której na pewno sprawy finansowe są ważniejszą niż problemy kultury filmowej polskich widzów. Ślad mój apel do odpowiednich władz Ministerstwa Kultury, a na pewno i Finansów, które mogłyby wydać zarządzenie zwalniające C.W.F. od odpowiedzialności wyliczeń z dochodów jakie przynoszą D.K.F.

Krzywdzące wydają mi się uwagi autora artykułu dotyczący jak pisze „aktywu” klubów. Nie wydaje mi się również, aby dobrym argumentem wytoczonym w imię dobrej sprawy, było podawanie do publicznej wiadomości spraw prokuratorskich jednego z działaczy D.K.F. Zbyt wiele poważnych instytucji trzeba by wtedy odsądzać od czci i wiary.

Dobrze się jednak stało, że mój skromny artykuł zdołał poruszyć najwyższe władze do wypowiedzi na temat, o którym się do tej pory mijało. Gdy zacznie się więcej mówić, odważnie pisać, a przede wszystkim działać może uda się z czasem tak zorganizować pracę D.K.F-ów, by na tym miejscu można było chwalić, a nie tylko żałować.

EWA NURCZYŃSKA

P.S. Na marginesie całej sprawy warto zauważyć, że dobrze by było, gdyby zastępcą dyrektora Łódzkiej Ekspozytury CWF — byłby ktoś orientował się w historii filmu i wiedział, że film „Droga do nieba” jest dziełem nie Bergmana, lecz również znakomitego reżysera szwedzkiego Alfa Sjöberga.

E.N.

W ODPOWIEDZI...



To, że wobec Dyskusyjnych Klubów Filmowych nigdy nie głosowałam taryfy ulgowej świadczyć mogą, dwa poświęcone ich działalności artykuły, które były swego czasu drukowane na łamach tychże „Odgłosów”. Wydaje mi się jednak, że zbyt surowo p. Gluth ocenia fakt, że na 13 łódzkich D.K.F-ów „tylko” 9 obejrzało „Testament Orfeusza” J. Cocteau. Zważywszy na środowiska, w których kluby filmowe działają, biorąc pod uwagę ciągły, nieunikniony przepływ klubowiczów, nie można pokazać tylko tzw. „pozytywnych”. Można natomiast na atrakcyjnym dla każdej publiczności filmie „Skłóconych z życiem” pokazać i podsumować w klubowiczami np. o znaczeniu pracy reżysera. I nie dziwię się np. głosom działaczy D.K.F., powiadamy z Tarnowa, którzy tego typu atrakcyjnych filmów domagają się dla swoich klubów.

Wiele zarzutów, które p. Gluth stawia D.K.F. jest na pewno oczywistych i słusznych. Nie można jednak sprawy uogólniać na wszystkie D.K.F. działające w Polsce, a o nich przecież była mowa w moim artykule. Zarzuty, jakie w swoim artykule stawia p. Gluth D.K.F-om znalazły się również w moich dwu poprzednich. Jednak w artykule cytowanym przez p. Glutha starałam się spojrzeć na drugą stronę medalu i wskazać kłopoty Federacji, które wynikają często ze zlej

ego artykułu jest zorientowany w tym, ile wysiłku włożyła Federacja D.K.F., aby film zbliżył do nauczycieli, że z inicjatywy Federacji szkoli się nauczycieli na seminariach filmowych, że właśnie Federacja zarządziła działaczy Łódzkiego Klubu Nauczycielskiego bakiem filmowym. Ci działacze w nowym roku szkolnym organizują w sali „Filmosu” D.K.F. dla nauczycieli.

Kiedy jesteśmy już przy śro

tożym jestem do miłości”.



Babka czy babcia?

Marlena Dietrich jest już wprawdzie babcią czworga wnucząt, ale pozostałe nadal babcią godną hołdów i pożądania. Nie bez przyczyny w swym pierwszym wielkim filmie „Błękitny anioł” śpiewała tak charakterystycznym dla siebie, ochryplym, niskim głosem: „od stóp do głowy stworzona jestem do miłości”.

To znakomity niemiecki reżyser Joseph von Sternberg odkrył Marlene — urzekającą Lolę-Lolę z „Błękitnego anioła”. Przedtem była tylko niepozorną statystką lub mierną wykonawczynią trzeciordniowych ról. Ten film przyniósł jej sławę, miejsce w historii sztuki filmowej i renowację wamp. Zresztą, jak głosi fama, Marlene obejrzała skończony film strasznie się zawstydzona i krzyknęła z przerażeniem: „Po tej historii nigdy już nie będę się mogła nigdzie pokazać”.

W rzeczywistości Marlena Dietrich, taka jaką znamy, urodziła się nie w romantycznym Wiedniu, lecz w Hollywood. Film Sternberga otworzył jej złote wrota stolicy snów. I wkrótce z nieco przetygłej i źle uczesanej Niemki przeobraziła się w autentyczną Marlene Dietrich. Schudła 10 kg, zmieniła jej zarząs ust i brwi, rozjaśniono włosy, słynne nozi Marleny ubezpieczono ponoć na sume miliona dolarów. Rozpoczął się złoty wiek w karierze aktorki. Znakiem reżyserzy, świetnie i kasowo filmy, świat stał się u jej nóg. Była pierwszym i niepowtarzalnym wampem ekranu. Poe-

ta Paul Valery opiewał jej oczy jako „najbardziej niepokojące z tych, które spojrzał”, wielbił ją Hemingway i Remarque, Koehli się w niej Douglas Fairbanks junior, James Stewart, Maurice Chevalier, Jean Gabin. Nawet zaprzysiężony stary kawaler Jean Marais oznajmił, że gdyby miał się kiedykolwiek w życiu ożenić to tylko z Marlene. Niestety, Marlene trzykrotnie odrzuciła już jego oświadczyny. Podczas wojny, w momencie, gdy stawa jej już nieco przycięsala Ribbentrop proponował jej 50 tysięcy dolarów za udział w niemieckim filmie. W odpowiedzi na te propozycje Marlena złożyła prośbę o przyznanie jej obywatelstwa amerykańskiego i śpiewała w mundurze armii USA. Nie tak dawno, 58-letnia obecnie Marlene rozpoczęła nowy rozdział swej kariery występując na deskach kabaretu „La Sahara” w Las Vegas. Jej powrót był powrotem triumfalnym. Świetny film „Sad w Norymberdze” uczynił ją znowu popularną. Oglądając Marlene na ekranie („Świadek oskarżenia”) czy też na scenie music-hallu nikt nie wątpi w młodość i wdzięk tej kobiety. Ubrana w swoje słynne suknie tak wąskie, że nie sposób w nich ustąpić, a włożenie ich wymaga co najmniej kilku godzin, otulona w swój biały płaszcz utkany z lądziego puchu Marlena Dietrich nadal fascynuje świat.

MARIA KORŃKOWSKA

Co nas czeka?

Zmiana na lepsze w lipcowym repertuarze filmowym nie jest aż tak wyraźna, by można było w dzwony, tym niemniej warto zasymulować niektóre filmy. Na czoło wysuwa się jeden z ostatnich filmów Julien Duviviera „Z RAK DO RAK”, reżysera mającego w swym dorobku przeszło 30 filmów pełnometrażowych, jak: „Rudzielec”, „Jej imię”, „Wielki walec”. U realizowanych w latach trzydziestych i czterdziestych, „Imieniny Henrietty”, „Nieznany zdrójca”. Obok wielkości nazwiska reżysera mamy do czynienia w tym filmie z inną wielkością, tym razem aktorską, której gwiazda została ostatnio „na dziedzińcu filii popularności” stopniowo odbudować. Giulietta Massina do

ko w cechy liryczne, czy tragiczne, ale dał jej również rysy groteskowe, ironiczne. W ich wygranu Massina blizszy swym niezaprzeczalnym talentem aktorskim. Na dramaturgi filmu, płynności akcji zacięła poważnie powieść, zawierająca obok swych humanistycznych wartości cały szereg schematów cechujących powieści obyczajowe lat międzywojennych. Efektem tego jest rozwińnięcie i spore długi.

Wytwórnia angielska „Woodfall” nie bez kozery zwana ośrodkiem nowych prawd w angielskiej twórczości filmowej, stynna jest dzięki grupie filmowców wywodzących się z dokumentalnej „Free Cinema” i związków twórczych z współczesnym dramaturgiem angielskim Johnem Osbornem. Wydała ona niewątpliwie najciekawsze w chwili obecnej indywidualności artystyczne filmu angielskiego. Tony Richardson obok Karela Reizsa i dokumentalisty Lindsaya Andersona należy do czołowych przedstawicieli „angielskiej nowej fali”, jego „MIŁOŚĆ I

GNIĘW” jest zarazem debiutem fabularnym opartym na pierwszorzędnej teatralnej Osborna pod tym samym tytułem. Warto przypomnieć, że debiut Tony Richardsona nie jest debiutem na polskich ekranach, bowiem nie tak dawno oglądaliśmy jego drugi film „Music-hall” również według Osborna z Laurence Olivierem. A więc „Miłość i gniew” jest na pewno filmem, który posiada wszystkie cechy charakterystyczne dla utworu reżysera stawiającego swe pierwsze kroki. Wyczuwa się w tym filmie niejednoznaczność konstrukcji dramatycznej, chwilami zbyt natrętne psychologizowanie i socjologizowanie, które wydają się być przesadną manierą. Postać „skłóconego z życiem” młodego Anglika jest charakterystyczna dla angielskich „gniewnych”. Wydawałoby się, że momentami po prostu schematyczna nastawia się analogie z „Miejscem na górze” Claytona i „Z soboty na niedzielę” Reizsa, jest jednak ciekawa dzięki znakomitej kreacji aktorskiej Richarda Burtona,

znanego u nas z „Gorzkiego zwycięstwa”. W roli Heleny zauważyć nietrudno uroczą Claire Bloom „odkryta przez Chaplina” a u nas oglądana w ekranizacji „Ryszarda III”. Dramat parę bohaterów „Miłość i gniewu” nie pozbawiony uderki i gwałtowności spowoduje wielu widzów do dyskusji.

Ostatnia pozycja tego felietonu... „OSTATNI ŚWIĄDEK” Wolfganga Stauda wyróżnia się, jak na stosunki w Niemczech zachodnich odważa ataku na porządek, jakie przyniósł niemiecki „świd gospodarczy”, dzięki któremu czynieni mordercy mogą z powodzeniem grać rolę statecznych obywateli Republiki Federalnej. Adresatów tego filmu nietrudno zidentyfikować, choć nie wymienia się ich personalnie. A jest ich sporo i to czasami śledzących na wysokich stopniach w bońskim aparacie sprawiedliwości, tak chociażby prokuratora generalnego dr Frsenkel, leden z grupy „krwawych sedziów” hitlerowskich. Film Wolfganga Stauda, jak wszystkie „ego dotychczasowe”

niestety, coraz rzadszym, jawnym wyjątkiem zachodniomiejscowej twórczości filmowej. Od strony formalnej raczej tylko poprawny reżyserski, słabszy od wcześniejszych i świetnych dzieł tego reżysera: „Morderców wśród nas”, „Brunatnej pańczonek”, czy „Poddanego”. Nowy film Stauda stoi raczej na poziomie artystycznym wysiłkiem w Polsce swego czasu o podobnym charakterze filmu — „Róża dla prokuratora”.

Te trzy omówione filmy rzecz oczywista nie wyczerpują całego repertuaru lipca zawierającego również kilka pozycji o charakterze rozrywkowym na temat których w następnym felietonie.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

turystyczna POLSKA B

Dalszy ciąg
ze str. 1

uzasadnione? Z przykrością muszę stwierdzić, że przeciwko PTTK można by wysunąć argumenty znacznie cięższe, niż te, które podano w artykule. Moim zdaniem PTTK absolutnie nie spełnia swojej roli. Dlaczego? Żeby prowadzić działalność PTTK musi na nią zarobić, to znaczy handlować. I PTTK handluje. Czym? Wycieczkami. Na jakim poziomie? Na poziomie gorszym niż „Orbis”, „Turysta” i „Gromada”. Jest to pierwsza sprzeczność między założeniami statutowymi tej organizacji a rzeczywistością.

Druga sprawa: propagowanie idei turystycznej. Kiedyś w okresie zaborów PTTK, a ściślej mówiąc — wówczas Polskie Towarzystwo Krajoznawcze spełniało swoją rolę — krzewiło patriotyzm i poprzez umiłowanie kraju budziło do walki z zaborcami. Wtedy ono rosło i miało zwolenników. Wiemy, że już po pierwszej wojnie światowej PTK poważnie się wykołowało. O tym prawie nigdy się nie mówi, uważając, że byłoby to szarganie świętych tradycji. A były to przecież tradycje organizacji ekskluzywnej, pomijając już ideologię. W Polsce Ludowej stawia się przed PTTK zadanie rozwijania masowego ruchu turystycznego. Jak PTTK ma to zrobić, skoro tak bardzo przywykło do ruchu ekskluzywnego i skoro — z drugiej strony — należą doń dziś ludzie, którzy nie mają z czego sypnąć gotówkę na zakup sprzętu...

Propagowanie turystyki za pomocą wydawnictw, odczytów itp.? Jak można propagować turystykę, nie mając ludzi, kierowników, przewodników, gotowych działać bezinteresownie.

Urzednicy PTTK, nie potrafią nawet jako tako poinformować! Naprawdę, to jest stwierdzenie jak najbardziej trafne. Z urzędnictwem cały Zarząd PTTK od góry do dołu, mimo takich czy innych niedomagań — walczy. Niestety bezskutecznie.

Czy planujemy turystykę? Myślę, że zaczynamy ją planować. Do tej pory łącznie z okresem międzywojennym Polska nie figurowała jako kraj turystyczny w perspektywach międzynarodowych. Dopiero po raz pierwszy w tym roku wybrano 20 miejscowości, do których można przyjechać i korzystać tam z takich czy innych usług. To są przeważnie pola campingowe. Camping w naszym rozumieniu to nie to samo, co camping gdzie indziej. W pojęciu światowym camping to pole campingowe, to dosłownie tylko 12, 15 domków, a reszta — rozmaite urządzenia.

Skoro mowa o domkach campingowych, red. Uchman popełnia błąd, pisząc, że w Łódzkiem mamy tylko kilkadziesiąt domków campingowych. Nieprawda. Mamy ich kilkadziesiąt w pobliżu Łodzi i kilka tysięcy w województwie. Niestety, nie są

one do wynajęcia z soboty na niedzielę, bo normalnie służą wczasom pracownikom. Cały szkopuł w tym właśnie, że musimy domki campingowe przeznaczać na ten cel. Normalnych domów wczasowych w okolicach Łodzi nie możemy budować, bo nie ma gwarancji pełnego, tzn. rocznego ich wykorzystania. Dlatego buduje się domki lekkie, tanie, nieprzyjemne dla oka, bo wyglądające, jak budy. Przyjmujemy nawet te, które są wyrzucane z innych miejscowości kraju, żeby tylko powiększyć bazę noclegową w naszym regionie.

Ale, jak mówiłem, camping — to pole campingowe, wyposażone w dwa zasadnicze budynki — administracyjny i sanitarny. Ktoś, kto przyjeżdża na takie pole może mieć własny sprzęt, ale musi mieć też możliwość wypożyczenia go. Niestety, campingów w tym rozumieniu mamy w kraju zaledwie 20, a wszystko inne to w gruncie rzeczy — zaprzeczenie i antypropaganda turystyki campingowej. Jeśli idzie o sprzęt, to problem nie tylko na tym polega — czy kogoś stać na jego zakupienie. Pozostaje zagadnienie — jak ten sprzęt ze sobą wozić. Myślę, że w Polsce w kraju najbardziej na świecie „zmotoryzowanym”, mówię to w cudzysłowie, bo mam na myśli, niestety, tylko motocykle, należałoby lansować pewną modę: jazda na motocyklu, to nie tylko solo względnie z partnerką na szlodelku, ale solidny bagażnik do tego, służący do umocowania sprzętu potrzebnego przy biwakowaniu na polu campingowym. Będą trudności z taką modą, bo motocykliści uważają coś takiego za niestylowe.

A teraz o Łodzi i wypożyczalni po pracy, dla nas najbardziej istotnym. Szacuję, że przy bezbłędnej organizacji w ośrodkach miejskich, podmiejskich i na terenie województwa można zmieścić jednorazowo i ćwierć miliona mieszkańców. No, bo mamy tych miejscowości 25 w województwie i 10 w samej Łodzi. Licząc 35 — wypadła 7,5 do 8 tys. łodzian na 1 miejscowość. A mamy także miejscowości, które mogą pomieścić bez wahania 30 do 50 tys. W sumie to się zbilansuje, bo jedna przylime 1000 osób, a druga więcej. Ale — jak dotąd — te miejscowości pozostawione są same sobie.

Red. Uchman słusznie proponuje, żeby ujednolicić system zarządzania i gospodarowania tymi miejscowościami, powołać jakiś personel, który by zabezpieczył je we wszystko, co jest niezbędne dla wycieczki, i gwarantował wysoką jakość usług. Chciałbym na zakończenie stwierdzić, że to, co robimy w tym roku, daje nadzieję, że powoli i stopniowo polepszymy sytuację. Podam przykład chociażby komunikacji. Chyba wszyscy zgadzają się na to, że w tym zakresie nastąpiła radykalna zmiana na lepsze, mimo tego, że usługi komunikacyjne są nierenowne. To samo można by powiedzieć o handlu, który zaczyna zwracać coraz większą uwagę na sprawy świątecznego wypożyczynku.

JERZY TYNECKI

Kto nie pisze dla XXX wieku, a ma trochę talentu, może dziś liczyć na stosunkowo przychylny odbiór swych utworów poetyckich zrazu w nielicznych, a potem narastających kołach czytelników. Odbiorcy poezji zdają się być już przesyćeni tradycyjnymi sposobami przekazywania wzruszeń estetycznych i są jakby skłonni dokonać pewnej zmiany gustów — pod warunkiem, że nie będzie to proces raptowny. Dość po wierzchnio eksploatował w Łodzi te możliwości, jakie dale młodemu twórcy wspomniane przewartościowywanie kryteriów artystycznych wśród samych czytelników Jerzy Wilmański, z kolei zaś tomik Mieczysława Michała Szargana „Brzeg barwy” stanowi ambitniejszą próbę dostosowania wyrazu poetyckiego do gustów okresu, w którym kształtuje się na nowo przyswajanie wiersza.

Pod względem warsztatowym tomik wyróżnia się starannością w doborze poetyckich określeń, inwencją w zakresie pomysłów i znaczną, może nawet nadmierną gęstością formalną. Jest stosunkowo niejednorodny, trochę niejednorodny w sposobie opracowania tematu, sytuacji lirycznej — autor osiąga jednak przez to tę korzyść, że wiersze, nie podobające się jednemu, będą odpowiadały innemu czytelnikowi. Owz użna za najlepsze wiersze, tak moim zdaniem dobre, jak „Logiczne rozbiernie domu” lub fragmenty „Rekonwalescencji wnętrza”, a zwłaszcza „Dom”:

Na początku były oczy
Szparki utkane nieutnością
Brwi uniesione do głodnych
Wstuchanie w jeszcze jak
Drażąca splekanych warg
Potem gwiazdy obróciły ręce
I tak zaczął się nasz dom

— Innemu zaś podobać się
będą, dla mnie już rzekome
odkrycia formalne, nadmiar
retoryki i ograne dziś sposoby
wypowiadań:

Mam ręce białe obrusy
mam ręce kundle leniwe
pod mostkiem co ugina się
merdam ogonkiem zielonym
Poemat odrealniony
(podkr. J. T.)

Przypuszczam, że ma to
swoje przyczyny w dwoistości
ci postawy współczesnego

czytelnika wobec poezji: w zrywaniu z tradycyjnym pojmowaniem sztuki i w braku orientacji, ku czemu zmierza tak zwana poezja nowoczesna. Tego rodzaju ambiwalencja czytelnika dość chętnie wita autoironię i groteskę, nie tedy dziwnego, że współczesny poeta aż za chętnie eksploatuje te sposoby wypowiedzi. Nie omieszkał uczynić tego i Szargan.

Wiersze Szargana obracają się wokół tematów z pozoru w „kregu reki” (dom, ulica, akcesoria domowego życia), niemniej potrzeba realiów codziennego bytu wyraźne klęci się w jego ujęciu ze skłonnością do metaforyki z lekka metafizycznej. Rower, zawieszony na haku Chrystusa rzeczy z przebitymi stopami opon — w wierszu

PRÓBA TRAFIENIA W GUST CZYTELNIKA

„Ucieczka” traci jakowymś reżimem prawie mistycznym.

Prócz tego wspomniany charakter gustów czytelnicy i prawa rządzące debiutem spowodowały, że literackie reminiscencje, liczone w jego tomiku, mieszczą się między pogłosami uznanej poezji refleksyjnej: eschatologicznej, jak u Stafii lub ironizującej, jak u Gałczyńskiego.

Z kolei znów wiele motywów (koło, obracanie się i zastyganie dnia) wzięte jest jeszcze z przedwojennego Jastruna. To prawda, że Jastrun to dość szeroki krąg młodzieży literackiej uchodzi za coś w rodzaju moralnego autorytetu i mistrza w kwestiach sztuki, po części z przyczyn pozaliterackich (rolę tę mógłby spełniać też Słonimski gdyby nie był obciążony grzechem pierworodnym Skamandra,) niebezpieczeństwo przy tym jednak jest takie, że twórczość Jastruna nazbyt już sama czerpie soki z literatury.

Konieczna tu jest ogólna uwaga, że wśród młodych

poetów mówił się sporo o nawrocie do nieskamandryckiej poezji XX-lecia. Nasuwa się tu podejrzenie, że jest to postawa dorobion ex post. Cóż bowiem ma począć jeden z drugim adept nowoczesności, skoro się okaże, iż wymyślona przez niego metafora w licznych wierszach kursowała już dawno w „Zwrotnicy”, to w „Zagarach”, to wreszcie w „Kamieniu” — wtedy gdy poezja wyblakła i wyczerpała się manifestacyjnymi przeważnie zrywami pierwszego dziesiątka lat drugiej niepodległości. Wynikające zawiązywał z listnista pobłażanie tym rzekomym odkryciom formalnym prowadzi w końcu — powtarzam to — do nadmiaru retoryki i ogranych dziś sposobów wypowiedzi. Niemniej osiąga się

własne oblicze. Może wtedy nie będzie też opatrzone tytułem zbyt łatwo kojarzącym treści plastyczne z poetyckim efektem i stanowiącym dla zawartości tomiku kłame troche irracjonalną. Bo w końcu, co ma „brzeg barwy” do tego, że autor nie zamierzył dać wykończonego obrazu własnych spostrzeżeń, lecz zachował się jak aktor, nie będący w pełni tym, co gra. Skojarzeń tu może być wiele, a to, co stało się tytułowe, wydaje się tanie.

Biblioteka Poetów w serii na rok 1961 pomieściła również debiut Jana Onopy zatytułowany „Wzdłuż krzyku”, nie podejmuję się jednak jego krytycznego omówienia. Rys sztywnego uporu przewijający się poprzez wszystkie wiersze, zatrzymuje niekiedy uwagę czytającego na szczególnych wypowiedzeniach („Jest przecież dzień, Kołyska W której poplakuje Geniusz” — w wierszu „Noc”). Całość jednak jest zupełnie jednostajna. Zupełny tu brak inwencji, a choćby gęstości formalnej, która w pierwszym tomiku, Szargana, była raczej nadmierną.

Nie znać niemal zupełnie pracy wyobraźni, która nawet w najbardziej nowoczesnym wierszu przetwarza abstrakcyjną, nurtującą poetę myśl na obraz, no — szczerze obrazu. Treść wierszy Onopy — jak w sennym marzeniu o poezji — jest banalna, dziecinnie jawna. W dodatku jest to sen uprzejmie robotny, jakby ktoś żądał od siebie, żeby śnić zawsze to samo.

Aprioryczność poetyckiego obrazu stała się tu manierą: „Wzdłuż krzyku”, „przez oczy przewlekam dzień Podzielony Na czekanie”, latawiec co ledwo mieści się pod niebem — wszystko to są zwroty nieścisłe, nie przed stawiające nic zgoła, przedstawiające coś pozornie lub niewiernie. Nie stosują się do nich miary estetyczne ani logiczne. Zbiegły się tu widać kłopoty redakcji poetyckiej, poszukującej materiałów do „szkatułki” i wieloletnie wyczekiwanie debiutu.

Biblioteka Poetów 1961.
Wyd. Łódzkie, Łódź 1961.
Tomiki Mieczysława Michała Szargana: Brzeg barwy i Jana Onopy: Wzdłuż krzyku.



TADEUSZ STOLAREK

Chciałbym wyraźnie odróżnić sprawę turystyki od tzw. wypożyczynku świątecznego. Turystyka powinna zajmować się ludźmi — nie powiem — na wyższym poziomie, ale ci, którzy odczuwają potrzebę dłuższego wyjazdu czy półdnia na wycieczkę pieszą. Nam, Związkowi Włóknarzy, zależy na tym przede wszystkim, żeby dużo ludzi z Łodzi wyjeżdżało do pobliskich miejscowości na niedzielny wycieczyn. Trzeba stwierdzić, że od 2 lat tą sprawą na pewno zajmują się związki zawodowe chociażby z tego względu, że leżą na to pieniądze — no, a z drugiej strony, zależy im najbardziej na dobrym wypożyczynku po ciężkiej pracy. W Łodzi niemało już zrobiono w tym zakresie.

Jeśli redakcja „Odgłosów” powiada, że Łódź jest jakąś Polską B w turystyce, ma niewątpliwie rację. Przecież

Poznań ma swoją Małą, Warte i wszystko, co spowodowało, że budowano tam dużo dla celów wypożyczynkowych, że instytucje i organizacje starały się, żeby — z jednej strony — trochę zarobić, a z drugiej, żeby ludzie mogli wypożyczać. Nie mówiąc o Warszawie, gdzie jest Wisła, czy Krakowie, gdzie działa wiele takich ośrodków wypożyczynkowych. Natomiast Łódź nie ma absolutnie żadnego ośrodka i dlatego trzeba się dobić wszędzie tam, gdzie można, o to, żeby wokół Łodzi i na terenie samego miasta budowano takie właśnie ośrodki wypożyczynku świątecznego. Inne miasta, o których mówiłem, posiadają naturalne ośrodki wypożyczynku świątecznego. Tu w Łodzi ich nie mamy i dlatego głównie w tej materii stanowimy Polskę B. Łódź była do niedawna, jeszcze 3 lata temu, Polska C. W ciągu ostatnich trzech lat, wybudowali Arturówek, zaczęliśmy porządkować Stawy Jana, są już oddane do użytku ośrodki „Tramwajarza” i „Włókniarza”, a więc w pewnym sensie zrobiono wiele. Podobnie w województwie. To jest niby dużo, a jednak za mało. Mój przedmowa wspominał, że może rozlokować w 35 ośrodkach ćwierć miliona łodzian, a w niejednym nawet 30 i więcej tysięcy. Bardzo się boję tego. Aż mi skóra cierpnie na myśl, że 35 tysięcy ludzi przyjedzie do jednego określonego ośrodka. Był taki film amerykański „Piknik”

wiecie, z tymi tłokami i rozmaitymi wariacjami. A nam wyjątkowo bardzo chodzi o to, żeby tych ośrodków było jak najwięcej, ale małych, żeby ludzie przyjeżdżali w liczbie od 1000 do 2000. To nie jest żaden wycieczyn, jeśli ludzie leżą jak śledzie w beczce, gniebieni muzyką z gigantofonów.

Ale tu utrzymuje się wciąż jedno niedomówienie. Na terenie Łodzi działają Łódzki KKKFIT i Wojewódzki KKKFIT, łódzka Rada Narodowa i Wojewódzka Rada Narodowa. Łódź jako miasto wydzielone na terenie województwa nie buduje. Województwo nie potrzebuje tych ośrodków tyle, ile potrzebuje Łódź. Ta niezbędność potrzeb sprawiła, że nikt nie interesuje się województwem, a przecież łodzianie powinni wyjeżdżać przede wszystkim do ośrodków położonych w województwie.

Podobno są kolosalne zmiany w komunikacji miejskiej i podmiejskiej. Osobiście nie zdążyłem tego zauważyć. Jeżdżę często do Grotnik, nie zawsze można dostać się do pociągu. I dlatego konieczna jest w naszym ciągu — wybaczenie wielkie słowo — walka o to, żeby tych pociągów podmiejskich było coraz więcej, i żeby ludzie po niedzielnym wycieczynku nie wysiadali z nich ledwie żywi.

Następna sprawa: zaopatrzenie. Niewątpliwie w porównaniu z latami ubiegłymi jest lepiej, bo już można i w Grotnikach dostać butelkę wody sodowej. Ale nie zawsze. Jak jest upał,

to łatwiej sprzedać tę wodę na Piotrkowskiej, bo nie trzeba płacić za transport, a w Grotnikach z braku wody możesz zemdleć.

Jeśli chodzi o ośrodki campingowe, to GKKFIT za sprawą nie jednak nie zajmuję z tego względu, moim zdaniem, że to jest nierenowne. Oczywiście, wszystko będzie się zabezpieczać: budowę hoteli, barów, kawiarni etc. tam, gdzie są one rentowne GKKFIT jest nastawiony w tej chwili na turystów zagranicznych, bo korzyści dewizowe są dlań pierwszorzędnym celem.

Zaryzykowałbym więc stwierdzenie, że sprawa turystyki krajowej GKKFIT na co dzień się nie zajmuje. W tej sytuacji inicjatywa i ciężary spadają na zakłady pracy z jednej strony i na organizacje społeczne — z drugiej. Tutaj rola Wojewódzkiej Komisji Zw. Zaw., która koordynuje te sprawy w zakładach pracy, jest wielka. Chyba trzeba by postawić, żeby bez wiedzy WKZZ żaden zakład pracy nie mógł budować ośrodka wycieczynkowego. Nie chodzi o to, żeby nie budował, wręcz odwrotnie, ale żeby to było skoordynowane, żeby nie stawiano dwóch domków na krzyż, ale wspólnymi siłami całe ośrodki, posiadające wodę i obiekty wyposażone w minimum urządzeń cywilizacyjnych. Sądzę, że WKZZ powinna mieć pieczę nad tymi ośrodkami. Zdaje mi się, że aparat tej komisji jest zbyt sztywny, ale sprawa jest zbyt ważna, żeby ją „oddać dalej”.

BERNARD KEPLER

Najmłodszy malarze

Zamieszczamy w tym numerze zdjęcia z pokazów studentów Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Niech mówią one o drodze, jaką przechodzą najmłodszy plastyki: od pierwszych klas liceum po dyplom uczelni wyższej. Artykuł o wystawie prac studentów zamieścimy w numerze następnym.



Tow. Michalina Tatarówna-Majkowska i wiceminister Kultury i Sztuki tow. Garstecki na wystawie



Pracownia prof. Wandy Borowskiej. Studium odzieży

Rozpoczął się okres wakacji i urlopów. Nie będzie chyba przesadą stwierdzenie, iż wzorem lat ubiegłych większość instytucji kulturalnych zdaje się z żelazną konsekwencją kultywować urlopowe tradycje. Choć dopiero u progu wakacji, znajdujemy się już w pełni sezonu ogórkowego.

Okazuje się jednak, że są jeszcze w naszym mieście placówki kulturalne, pracujące bez taryfy ulgowej przez okrągły dwanaście miesięcy. Mowa tu o Muzeum Historii Włókiennictwa, które wbrew powszechnie przyjętym kanonom sezonu ogórkowego gości w salach wystawowych przy ulicy Więckowskiego doroczną wystawę prac uczniów Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi.

Łódzkie Liceum Sztuk Plastycznych, choć jest szkołą typu ogólnokształcącego, nie dającą absolwentom żadnych uprawnień zawodowych (otrzymują tylko świadectwo dojrzałości) — ma jednak swój odrębny profil i charakter.

Naczelnym zadaniem szkoły jest wpajanie młodzieży umiłowania dla sztuki, rozwijanie uzdolnień plastycznych

i przygotowanie najbardziej zdolniejszych do dalszych studiów plastycznych. Pod tym właśnie kątem opracowany jest program nauczania tej szkoły. Obok przedmiotów ogólnokształcących są tu również: malarstwo i rysunek, rzeźba i modelowanie, grafika, sztuka wnętrza, taktwo, metaloplastyka, dekoracje teatralne, grafika książkowa i użytkowa, liternictwo, rysunek techniczny, historia sztuki. Już sam zestaw przedmiotów nauczania świadczy o wszechstronnym, ogólnokształcącym profilu pedagogicznym szkoły. Właśnie ów sojusz nauk ogólnych ze sztuką zrealizowany w praktyce Liceum Sztuk Plastycznych nadaje mu odrębne oblicze, wyróżnia je dodatkowo spośród innych szkół. A skoro już o wyróżnieniu mowa, wspomnieć należy o wysokim poziomie szkoły i świetnych wynikach nauczania. Dowodem tego niech będzie fakt, iż od kilku już lat z rzędu maturosu są tu 100-procentowe, a większość absolwentów kontynuuje dalej naukę, przeważnie w wyższych uczelniach artystycznych. W ramach obowiązkowego programu nau-

czania szkoła prowadzi kilka pracowni plastycznych.

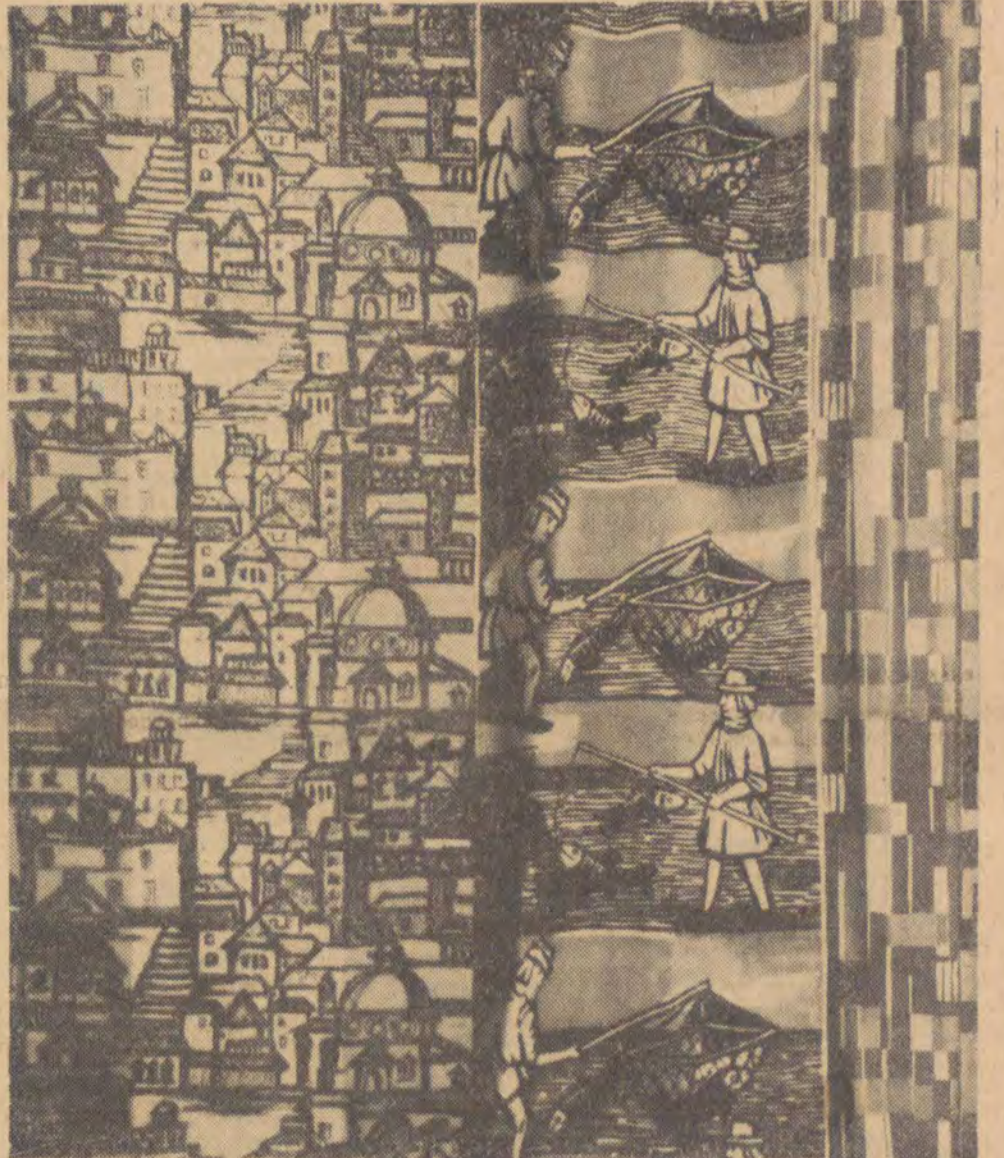
I tak prof. Bożyk patronuje przyszłym scenografom i wnętrzarom, prof. Rozmus przyszłym grafikom filmowym, prof. Ostrowski opiekuje się kołem fotografików, zaś prof. Ciesielski patronuje kółku metaloplastyki.

Wróćmy jednak do samej wystawy. Zgrupowane na niej prace reprezentują niemal wszystkie gatunki sztuk plastycznych od rysunku i malarstwa poczynając, a na rzemiosłach artystycznych skończywszy. Niezwykle ciekawych obserwacji dostarczają zwłaszcza prace malarckie. Pozwalają one dokładnie prześledzić drogę rozwojową uczniów od pierwszej aż po ostatnią klasę. Prace pierwszoklasistów pełne są jeszcze świeżości, nieskrępowania, ingenuita nauczyciela jest tu znikoma — nie ogranicza on jeszcze dziecięcej swobody i indywidualności. W starszych klasach, w miarę jak młodzież uczy się wiernie oddawać proporcje, harmonijnie opanować kolorem, modelować bryłę z pomocą światła i cienia i wywoływać złudzenie głębi, ztraca się pierwotna świeżość, a raczej naiwność spojrzenia na świat, by ustąpić miejsca poprawnemu stosowaniu nabytych w ciągu lat umiejętności. Ostatnia klasa jest decydującą próbą sił. Tu mamy już do czynienia ze świadomym upraszczaniem, syntetyzowaniem i przetwarzaniem natury, z poszukiwaniem oryginalnych rozwiązań formalnych, fakturalnych lub kolorystycznych.

W dziale rzeźby szczególnie cenna jest umiejętność posługiwania się przez uczniów różnym tworzywem i wczuciem się w jego istotę. Uderza tu zwłaszcza duża różnorodność technik i kierunków współczesnej rzeźby wyrażająca się głównie w upraszczaniu form i syntezie podjętego tematu.

Największy podziw wśród zwiedzających wzbudzają jednak naprawdę już dojrzałe projekty z dziedziny kompozycji, liternictwa i grafiki użytkowej, wśród których na szczególne wyróżnienie zasługują ilustracje książek dla dzieci oraz winiety, etykiety i inne drobne formy graficzne, tak że tutaj bardzo dokładnie widać ewolucję, jaką w ciągu lat nauki przechodzą uczniowie. Od skromnych projekcików, wycinanek, naklejanek, podstawowych form liternictwa aż po skomplikowane formy kompozycji i liternictwa oraz bardzo już „dorosłe” projekty graficzne. Żałować należy, iż piękne przykłady tkactwa artystycznego oglądamy tylko w formie małych modeli kilimów czy dywanów, a nie w oryginalnej wielkości. Tu jednak szkoła jest bezradna, gdyż nie posiada odpowiedniej pracowni wyposażonej w warsztaty.

Kilka podanych przykładów stanowi zaledwie niewielki procent dużej ilości eksponatów zgromadzonych na wystawie. Poza wspomnianymi już pracami malarckimi, rzeźbiarskimi, tkackimi i graficznymi wystawę uzupełniają jeszcze moc ekspozycji z innych gatunków sztuki lub działów pomocniczych, żeby chociaż wspomnieć o rysunkach technicznych, projektach dekoracji i wnętrz, pracach fotograficznych oraz drobnych kompozycjach wykonanych z najrozmaitszego tworzywa.



Pracownia prof. Stęberowej. Druk na tkaninie



Prof. Szadkowski. Rzeźba

Zdjęcia W. Parva

W KRÓLESTWIE

(Dokończenie ze str. 3)

sztuki filmowej, dla których np. filmy Kurosawy — to „japońska chała”. I z kim tu dyskutować?

Ostatnio Ekspozycja łódzka CWF zetknęła się z faktem przykrego nadużycia zaufania. Jeden z kierowników łódzkich DKF pozwolił sobie przez dłuższy okres czasu wyświetlać filmy przez siebie wypożyczone na dodatkowych tzw. „lewych” projekcjach w innym klubie. Przyciśnięty do muru wyznał, że od pół roku „nabierał” CWF i zobowiązał się uregulować sumy za nielegalny, „prywatny” wynajem. Czyż jednak uregulowanie rachunku wystawionego przez CWF mogło zmienić fakt, że oszustwa dopuszczał się przedstawiciel Polskiej Federacji DKF?

„Kłopoty materialne i repertuarowe, a przede wszystkim zła wola czynników rządzących polską kinematografią, składają się na to, że obraz ogólny pracy DKF nie należy do najlepszych” — sumuje p. Ewa Nurczyńska. Pozwólte sobie mieć odmienne zdanie — chociażby na podstawie wyżej przytoczonych faktów.

A swoją drogą, dobra wola dziennikarza polega chyba na tym, że dziennikarz wszechstronnie swoje informacje sprawdza.

ROBERT GLUTH
Z-ca Dyrektora CWF
Eksp. w Łodzi

O tych co na morzu

4

Płynęliśmy poprzez szeroką równinę Atlantyku, morza spokojnego o tej porze roku jak rodzime jezioro. Fala długa, równomierna, „Gerwazy” sunie majestatycznie z powagą. Prorocze okazały się słowa Kapitana, wypowiedziane wczoraj na mostku.

Nuda, nuda, nuda... Zagłębiał się coraz częściej w lekturę wspomnień brytyjskich marynarzy z XIX wieku. Co za wspaniałe dokumenty! Chyba niczego już więcej nie można powiedzieć o psiej egzystencji ludzi karmionych sucharami i zgnitym mięsem, drżących ze strachu przed feudalną pięścią kapitana, zaharowanych na śmierć, gnębionych przez brud i choroby.

Wyruszało się wtedy w rejs na rok, dwa lata. A że nikt na taką kategorię nie godził się dobrowolnie, więc werbowano amnestionowanych pod tym warunkiem kryminalistów, albo organizowano najprawdziwsze japoński w małych miasteczkach. Nie najgorszym też sposobem werbowano było spicie ewentualnego kandydata i podsuniecie mu w

tym stanie kontraktu do podpisu. Stawiał pijak trzy krzyżyki i pisał za to trzema latami poniewierki, z której czasem już nie wracał.

Daleka to przeszłość i nawet żadnych porównań nie wypadłoby czynić, gdyby nie fakt, że pokutują do dzisiaj pochodzące z tamtej epoki wyobrażenia o życiu na morzu. Nieludzkie trudy w walce z żywiołem — hojnie wynagradzane złotem... Tymczasem praca na tak nowoczesnym motorowcu jak „Gerwazy” nie ma przecież nic wspólnego z kategorią odbywaną na staroswieckich żaglowcach, a marynarz nie musi być bynajmniej dwumetrowym dryblasem o stalowych mięśniach — i najczęściej nim nie bywa.

A jednak, owszem, może ktoś zauważyć, że skoro zarobki w naszej flocie są nieporównanie wyższe niż na lądzie, tkwić w tym musi jakaś przyczyna. Jeśli płaci się teraz nie za pracę ponad siły i nie za konsumpcję zgnitego mięsa — to za co?

Za dwa marynarskie świadczenia: za spotęgowaną odpowiedzialność na służbie i za... nienormalny tryb życia.

Co do pierwszej z tych spraw — miałem już okazję o niej wspomnieć.

Drugie zagadnienie: „nienormalny tryb życia”. Sucho i zdawkowo powiedziane. Bardziej pogłębienie można by je nazwać „melancholią morza”, albo czymś w tym rodzaju. Integralnym składnikiem owego stanu ducha jest śmiertelna, przeraźliwa nuda.

Nuda... Nuda... Pustka i monotonia, której nie potrafi w żaden sposób zapobiec normalny program zajęć. Parokszizm pracy, jakki zazwyczaj przebiega przez pokłady w pierwszych dniach rejsu, minął — i co dalej? Żeby chociaż pojawił się jakiś stateczek — ale gdzie tam. Oficer wachtowy dojrzał w nocy „pasażera” na kontrkursie i próbował go zagadnąć światłem. Nic ważnego, ale

tak po prostu dla pokrzepienia serca. Statek pasażerski nie raczył odpowiedzieć, gdyż syty głodnego nie zrozumie — wiadomo wszak, że gdzie pasażerowie, tam nie brakuje atrakcji.

W naszych natomiast warunkach nawet skok latającej ryby stanowi rozrywkę, a najbliższe wydarzenie na pokładzie przybierała rozdzęta rozmiary. Przytoczę chociażby historię choroby kłki Pusi. Jest to wprawdzie stworzenie bardzo urodziwe (czarne piekielnie, z oczyma jak żółte latarnie) i przywiązane do statku, ale w ostateczności nie nadzwyczajnego.

I dziś rano Pusi nagle

powiedziałbym, — lniach: urzędowej i nieoficjalnej. Z „urzędu” mamy więc książkę, prasę („Głos Marynarza” odbierany telegraficznie — rzecz na statku nieoceniona) i przede wszystkim kino.

Niezapomniane seanse. Na rozpiętym na pokładzie płótnie, pod gwiaździstym niebem Atlantyku, wśród imponującego szumu fal — pogromczyń tygrysów kocha się na zabój w motocyklicie. Film nie jest pierwszej jakości, poza tym projektor podskakuje rytmicznie, tak, że zachodzi obawa, iż tygrysy, motocykle i pogromczyńi pospołem zsuną się do morza — ale są to jednak dwie godziny

to dla nas jasne, że jeśli się coś nie wydarzy, półdziemy wszyscy do domu wariatów.

I wydarzyło się. Na statku „zaczęło straszyć”. Biała zjawa plątała się nocą po pokładach, wachtowny mało nie umarł z przerażenia.

Oczywista, że nie był to żaden duch, tylko bosman, który doszedł do wniosku, iż trzeba jakoś zabawić towarzystwo. Wypijał wieczorem pół litra, ubierał się w prześcieradło i cichutko spacerował po statku. Pomyśl okazał się całkiem dobry — gadaliśmy tylko o zjawie, z niecierpliwością czekaliśmy na wieczór. Większość sądziła, iż jest to duch pewnego elektryka, który popełnił w poprzednim rejsie samobójstwo, wyskakując za burtę. Wierzyliśmy w tego ducha, bo chcieliśmy w niego wierzyć. A kiedy się wszystko wydało — także było wesoło.

Tylko, że w ogóle sprawa zakończyła się raczej ponuro: bosman począł pewnego dnia walić głową o ścianę i Stewardowi, który starał się go uspokoić, powiedział, że po prostu przechodził przez ścianę, ponieważ jest duchem i taka rzecz, to dla niego fraszka. On także uwierzył! Zamknęliśmy go w magazynie, a w Gdyni już na niego czekali panowie w białych fartuchach.

Kapitan skończył i przez pewien czas wpatrywał się ponuro w stół.

— Sądzę — powiedział Doktor, prawdopodobnie tylko po to, aby przerwać uciążliwą ciszę — że z takich właśnie nastrojów melancholii i nudy rodzą się te wszystkie historijki o okrętach-upiorach, Latających Holendrach i tak dalej.

— Częściowo ma pan rację — odrzekł Kapitan. — Wprawdzie kiedyś legendy morskie rodziły się raczej ze zwykłej ciemnoty i poczucia bezradności wobec żywiołu, ale niewątpliwie i nastroj melancholii także się do tego przyczyniały. Życie na morzu nigdy nie obfitowało w zbyt ciekawe wypadki, i dlatego, skoro się raz już coś wydarzyło,

fakt taki komentowany był w nieskończoność i przepiekiśtałany tak długo, aż wyszło z tego całkiem zgrabne i barwne opowiadanie. Trudno, powiadam, o ciekawszy ewenement w monotonii rejsów, czasem jednak bywają rzeczy dziwne, żywcem pachające się do jakiejś antologii i legend.

Wspomniał pan o Latającym Holendrze; znam pewne zdarzenie, które lat temu dwieście albo trzysta wzbogaciłoby niewątpliwie gamę opowiadań o statkach pływających po morzach bez żywej duszy na pokładzie.

Otóż gdzieś w latach trzydziestych, na Oceanie Indyjskim zauważono statek o wygaszonych światłach i zastopowanych maszynach, nie odpowiadający na żadne wezwania. Ekspedycja ratownicza popłynęła do tego martwego pudła. Już pierwszy rzut oka na pokład pozwolił na odtworzenie niecodziennej tragedii, jaka się na statku rozegrała. Był to transportowiec brytyjski, który wioził do Anglii kilkanaście klatek z jadowitymi węzami dla ogrodów zoologicznych. Jedną z klatek, najwidoczniej źle ustawioną w ładowni, spadła z wysokości kilku metrów, rozbiła się i wyswobodzone węże przez wentylatory wypelżyły na pokład. Pech chciał, że pierwszą ofiarą gada padł radiotelegrafista, nie zdążywszy już nadać sygnału SOS. I tak kolejno cała załoga zginęła od podstępnych ukąszeń, przy życiu został tylko kapitan. Obłożony przez węże zamknął się w swojej kabine i tam — splaszawszy całą tę wstrząsającą historię w dzienniku okrętowym — po pewnym czasie zmarł z głodu. Na szczęście dla ratowników także i gady wyzdychały co do jednego.

Opowiadanie Kapitana nie wywołało, o dziwo, zbyt wielkiego zainteresowania. Nie pytano nawet, jak dalece jest ono udokumentowane. Zalega ciężka cisza, a Kapitan wpatrywał się ponuro w stół.

Cóż tam opowiadki! Czuliśmy, że jeśli się coś nie wydarzy naprawdę...

MIROSLAW AZEMBSKI

Melancholia i dala

zachorowała, prawdopodobnie się przejadła. Trzeba było widzieć tę tragedię! Półowa załogi zgromadziła się na rufie obserwując w nabożnym skupieniu, jak Doktor, sam biały z przejęcia, robi jej zastrzyk. Biegali później wszyscy, z bosmanem na czele, po mleko dla chorej, po miękkie szmaty na posłanie. Biuletyn jej zdrowia podawano sobie z ust do ust, jak gdyby chodziło o wysokiego dostojnika. Na koniec Inżynier zabrał Pusi do siebie i nikomu nie pozwolił jej dotknąć, a kiedy go przy jakiejś okazji porządnie podrapała, złego słowa na nią nie pisał i rzecz całą trzymał raczej w dyskrejcie.

Zacięty bój z nudą toczy się na „Gerwazym” po dwu,

normalnego, lądowego życia. Jeśli idzie o program nieoficjalny, to osobny rozdział należy się brydżowi. W brydża grywa się całymi godzinami, z jakąś szczególną ponurą zacietością. Powiedziałoby się — rozrywka, od której nie ma odwrotu: porzucenie brydża grozi natychmiastowym atakiem nudy, wszechwładnej nudy morskiej.

No i wreszcie mesa. Posiłki przedłużają się coraz bardziej, kto tylko nie musi iść na służbę, siedzi i gada.

— Kiedyś, idąc z Chin, byliśmy pięćdziesiąt dni w morzu — mówi Kapitan. — Bractwo dostawało już „kota”. Nie zostaliśmy swoich pysków przy stole, nie widzieliśmy się nawzajem. By-

JAN HUSZCZA

I znowu to samo!

Piekna była ostatnia niedziela czerwca. Po nocej burzy, pełnej deszczu, rześki poranek wyciągał ludzi z mieszkań za miasto, aby odetchnąć na wyjątkowo świeżym powietrzu, nacieszyć oczy odkurzonym zielenią, pachnącą wilgocią.

Pełen nadziei, poszedłem pieszko w kierunku parku na Zdrowiu. Niestety, wilgotna leśna cisza grzyło na strzępny „Criminale tango”. Z latwością odszukałem źródło agresji: w pobliżu muszli koncertowej — nie wiadomo po co w swoim czasie dużym kosztem wzniesionej — stał wóz, należony olbrzymim głośnikami.

— Kto was tu nasłał? — zapytuje sympatycznym obywatela w granatowym kombinie.

— Prezydent Dzielnicy Rady Łódź-Polesie! — brzmiała dziarska odpowiedź.

Aha! Nietrudno było domyślić się, iż mamy do czynienia z „organizowanym odpoczynkiem”, o którym tyle pisała, nie bez dumy, łódzka prasa w okresie poprzedzającym sezon letni. Organizowano, proszę państwa, odpoczynek: w promieniu kilometra wszystkich ogłaszało — spacerowiczów, ptaki i zwierzęta z ZOO —

le musza wysłuchiwać wszystkich audycji radiowo-telewizyjnych, odbieranych z zapalem przez bliższych i dalszych sąsiadów...

2

Halas nadal jest problemem o szczególnej doniosłości. Jaskrawie zarysowuje się on zwłaszcza wiosną i latem. Miedzy in. choćby i dlatego, że doba ma mniej godzin ciemnych, a w związku z tym trudniej o sen, wzmagają się wrażliwość na każdą odmianę halasu, przy tym zaś ludzie chcą i powinni otwierać okna. Otwierając jednak okna, słuchają swoich telewizorów i aparatów radiowych tak, jakby mieszkali na odludziu. I mało kto raczy uświadomić sobie tę sytuację. Czasem przedstawia się to wręcz paradoksalnie. Ot mieszkam w jednym z domów zajmowanych przeważnie przez literatów, dziennikarzy, lekarzy i działaczy. Zdarzało się, że dbałość o ciszę w tych okolicznościach musi być wyjątkowa — wydajna praca czujących serc i niespokojnych umysłów jest możliwa bowiem tylko, przy spełnieniu tego warunku. Niestety! Wieczorami, jeśli chce się coś zrobić, okna nie można otworzyć, gdyż z mieszkań miejscowych intelektualistów wydobywają się ryki.

Żyłemy w czasach zgiełkowych — rozwój przemysłu, upowszechnienie motoryzacji i „motocyklizacji”, wzrastające ilości radiodbiorników i telewizorów sprzyjają karkołomnej halasów. Sprawa poważniejsza, obrona przed nią staje się z roku na rok trudniejsza, ale też i konieczniejsza.

Wpływ halasu na stan psychofizyczny człowieka ma różnorakie aspekty, dawno oceniono go ujemnie, choć jesz-

cze szczegółowo nie zbadano. A rzeczeć są i ludzie nie zamykający na noc radia (zwłaszcza, głośników radiofonii przewodowej), nie ono im nie przeszkadza, śpią. Na pewno nie robią tego z korzyścią dla siebie (a już zwłaszcza dla sąsiadów), ale skutki halasu w tych wypadkach widocznie mniej są uchwytne, nie należą do doraźnych.

3

Z zainteresowaniem przeczytałem w ub. roku o katedrze akustyki i teorii



drażni, pracujące w Poznaniu pod kierownictwem prof. Marka Kwieka. Jak wynika z informacji — „łapka świnki, poddana intensywnemu działaniu dźwięku, przestała rosnać”.

Głos w tych sprawach należy do uczonych, ale także i do nas wszystkich, będących najczęściej bezpośrednimi ofiarami halasu, z różnych pochodzącego źródeł. Zniknęły, jakże przed kilkoma laty drażniące, megafony dające o sobie znać niekiedy o najwcześniejszych godzinach. Niemniej, przeciętny mieszkaniec miast i miasteczek jakże często by-

wa ofiarą sąsiedztwa różnych zakładów, motocykli i ciągników, wreszcie zaś po prostu sąsiadów z przyjemnością, nawet po godzinie 22 wzmacniającego odbiór radiowy i telewizyjny. (Dobrze byłoby, żeby radio i telewizja, przynajmniej w okresie letnim, stałe przypominały o obowiązku ściszenia, bowiem „nie dajmy się zwarłować”, jak mawia znakomity mój przyjaciel, a ongi łodzianin Henryk Tomaszewski!)

Choć to brzmi dziwnie, przecież nie zawsze docenia się te sprawy, nawet w sanatoriach i domach wczasowych. Sam przez parę laty byłem w sanatorium, gdzie obok napisu „cisza lecząca” wisiało pudełko z głośnikiem, który zawsze ktoś o szóstej rano uruchamiał jak kurek w kranie, dostarczającym wody do umywalki. Co do mnie, przyznaję się, iż parę razy w takich okolicznościach po prostu zerwałem głośnik. Żadnej, niestety, nie wytoczono mi sprawy, choć może taka sprawa dałaby asumpt do tego, żeby w końcu halas stał się przedmiotem jakichś norm prawnych.

W tak pięknej miejscowości wczasowej, jak Spała, założono na terenie właśnie wczasowiska... parking!

Nawołując do maksymalnej lojalności wobec ciszy, czyli i wobec nas wszystkich, boję się, że ktoś gdzieś — wziawszy sobie podobne uwagi do serca — wypuści na miasto zmegafonizowany samochód, od rana do nocy wywzający ludzi do tego, aby „dbali o ciszę”. A przecież chodzi o to, że samymi nawiolywaniami, ani nawet administracyjnymi zakazami sprawy tej nie załatwi się. Działaj na jeziorach gęga rozmaite „szarotki”. Troska o ciszę — podobnie jak poszanowanie dla ziele-

ni — musi zakorzenić się przede wszystkim w coraz powszechniejszej świadomości. — Zwłaszcza, w świadomości sprawców halasu. Sprawców czasem z konieczności, a najczęściej — z niedoceniania tych zjawisk, jak w wypadku Dzielnicy Rady Łódź-Polesie!

4

Brońmy się więc!

A na zakończenie pozwól sobie ludziom, którzy nie doceniają szkodliwości halasu, dedykować maleńki fragmentek z zajmującej książki Antoniny Lenkowej pt. „Oskalarowana ziemia”:

„Z wiekiem potrzebuje człowiek coraz więcej spokoju i to nie tylko w czasie odpoczynku, ale także podczas pracy, zwłaszcza wyjątkowej pracy umysłowej. Ci sami ludzie, którym gwar pozornie nie przeszkadza, którzy tak często głośną rozmową, podśpiewywaniem w biurze rozpraszają skupienie innych pracowników, męcząliby się prawdopodobnie ogromnie, gdyby w podobnej atmosferze, jaką sami stwarzają, przyszło im pisać skomplikowany referat lub obliczać bilans dużego przedsiębiorstwa. Naturalnie nie można tego powiedzieć o wszystkich, ponieważ odbieranie wrażeń słuchowych to sprawa doznań subiektywnych, przy czym — jak twierdził Schopenhauer — „ilość halasu, którą może znieść każdy bez szkody, stoi w odwrotnym stosunku do jego zdolności umysłowych”.

A może niektórym ludziom oraz instytucjom podkręcać na karteczkach tę maksymę Schopenhauera? Jest diabelnie złośliwa, skutecznie podważa więc dobre mniemanie o sobie tych, którzy są sprawcami i wyznawcami halasu!!!

CHRZĄSZCZ ZA KOMINEM?

Przychodzą w czarnych garniturach i najładniejszych sukienkach. Niecierpliwie czekają pod drzwiami, udzielają sobie wskazówek i informacji, słuchają rad starszych kolegów. Nerwowo palą papierosy, oczekując na moment, gdy prowadzący egzamin wywoła ich nazwiska. Przeglądają notatki, starają się z relacji tych, którzy są już „po”, dowiedzieć wszystkiego. Potem, gdy trzeba już przekroczyć te drzwi, niepewnie oglądają się za siebie szukając pomocy. Egzamin na wyższą uczelnię dla wszystkich stanowią życiową szansę. A świadomość tego sprawia, że trudno im się skupić, zapominają najprostszych rzeczy, są nienaturalni i bardzo stremoceni. Egzamin na wyższą uczelnię, podobnie jak matury, przebiega w szeregowej atmosferze. Atmosferze, uzależnionej od charakteru i specyfiki wyższej uczelni. Odrębność tę odczuwa się zarówno na sali egzaminacyjnej, jak i wśród czekających kandydatów.

Przez cały ubiegły tydzień trwały w Łodzi egzaminy do wyższych szkół artystycznych:

Wyższej Szkoły Plastycznej, Teatralnej i Filmowej.

CZY BĘDZIEMY MIELI NOWEGO JARACZA?

Egzamin rozpoczyna się o godz. 10. W hali szkoły aktorskiej siedzą młodzi ludzie. Średnia wieku wypada chyba na lat 20. Studenci wyższych lat kręcą się wśród kandydatów. Są podnieceni, rozbawieni, wypytują, dają rady. Komisja egzaminacyjna jest już w komplecie. Pani dziekan Malkowska i prodekan Lwow przeglądają papiery pierwszego kandydata. „Już chyba rozpocznijmy. Poproszę panią...” — zwraca się pani Malkowska do studenta II-go roku, któremu powierzono ważne i odpowiedzialne zadanie na podawanie tektury z papierami, wywoływaniu kandydatów...

W sali kolumnowej pałacu Poznańskich stoi duży stół pokryty zielonym sukniem i szereg krzeseł, ustawionych pod kątem do małej scenki, ukrytej jakby w głębi sali. Krzesła przeznaczone są dla

studentów Szkoły. Egzamin jest otwarty, każdy może w zasadzie być na nim obecny. Wchodzi dziewczyna w kostiumie w czarno-białą kratę. Jest wysoka, ma ciemne włosy, delikatne rysy twarzy. Nieśmiało kłania się zatrzymując niepewnie na środku sali. „Proszę bliżej, niech pani siada, o tu, — mówi pani dziekan. Krzesło stoi obok ziele łonego stołu. Egzamin rozpoczyna się od momentu, w którym kandydat przekracza próg sali. Komisja obserwuje, jak się porusza, jak się zachowuje. Każdy gest wpływa tu na ocenę. Padają pytania. Dziewczyna mówi skąd pochodzi, gdzie zdawała maturę, dlaczego wybrała zawód aktora, co przygotowała na egzamin.

„Niech pani może teraz coś zadeklamuje. Proszę wybrać ten utwór, który pani najlepiej lubi... proszę się nie denerwować. A może napije się pani najpierw wody? Dziewczyna staje na scenie. Chwile milczy. Usiłuje się skupić i zaczyna recytować. „Czeka Pani Słowikowa w budziku pod akacją, bo pan Słowik przed dwunastą miał być na kolacji”. Egzamin trwa dalej.

— Proszę teraz wyjść — zwraca się pełniący służbę porządkowy student do koleżki. Krzesła pustoszeją. Komisja przystępuje do omawiania zalet i wad kandydatki. Tekst wygłasza poprawnie, Ma duże wyczucie i wrażliwość. Z wiersza trzy plus. Pierwsza charakterystyka kandydatki, pani Malkowska. „Proza na trzy” — stwierdza pan profesor Modrzewski. „Nie najlepiej z dykcją, ale to jest do naprawienia. Stawiam dwa plus. Niepokój mnie tylko sżyja, to wygląda na tarczyce” — mówi pani Wojtycka. „Wyraźnie detonuje, głos na trzy” — to profesor od śpiewu. „Warunki zewnętrzne nie najgorsze, tylko te nogi, ale myślę, że dopuścimy ją do drugich eliminacji. Popatrzmy jaka będzie w ruchu” — kończy pani Mieczysława.

Ceremonia powtarza się. Komisja słucha, wystawia oceny. Kandydaci na aktorów prezentują swoje umiejętności, recytują i śpiewają. Czasem — i to się od razu wyczuwa — tekst ustawiony jest teatralnie, czasem recytujący jest zupełnym dyletantem. Jeden z chłopców ujął wszystkich wdziękiem, prostotą i — zupełnie ignorancją. Czulo się jednak, że coś się w nim kryje. Że ma, jak to określają fachowcy, „wnętrze”. Przeszedł przez eliminacje. Dziewczyna, która recytowała niezłe została odrzucona. Zmanierowana — stwierdzono. „Z takimi najgorzej się pracuje”.

Czasem opinia komisji jest zgodna, czasem wynikała kontrowersje. Decyzje są jednak zawsze nieodwołalne. Bardzo ładnej wysokiej blondynki nie przyjęto — „głos się jej poprawił” — stwierdza komisja — „ale ta dykcja ciągle niedobra”. Dziewczyna zdaje któryś tam raz z rzędu. Zresztą nie ona jedna. Takich, którzy próbują kilka razy, jest więcej. Próbuja do czasu, póki nie przekroczy 23 lat życia. Wielu zdających przyjechało do Łodzi z innych miast, z Poznania, Krakowa, kilku było z województwa łódzkiego. Jeden z chłopców, z Kuluszek, nie chciał śpiewać po polsku. Mówił, że zaśpiewa po angielsku, bo nie trzeba dokładnie wymawiać słów. Więc zaśpiewał po angielsku. Komisja z trudem utrzymywała powagę. Z ponad 100 kandydatów do drugiego egzaminu dopuszczono 22 osoby. Z nich wybranych zostanie 15 studentów pierwszego roku wydziału aktorskiego.

Na sali ćwiczeń szkoły teatralnej ustawia się wokół sali 5 dziewcząt. Teraz egzamin prowadzi pani profesor Mieczysława. Dziewczeta wykonują najpierw kilka ćwiczeń rytmicznych. Akompaniament zmienia co pewien czas rytm. Dziewczeta idą najpierw wolno, potem biegną, podskakują, potem znowu wolno. Teraz seria ćwiczeń gimnastycznych. „Miętko, miętko, rozluźnić wszystkie mięśnie. Andrzej pokaż paniom...” Absolwent Szkoły pokazuje ćwiczenie. Asystentka pani Mieczysławskiej i komisja notuje oceny. Jeszcze taniec... i to już wszystko. Wehody następujących 5 dziewcząt. Potem chłopcy. Teraz pani profesor Mieczysława prosi „rece w przód, w tył, zgiąć, mocno, łokcie do tyłu —”.

„Wyjątkowo wszyscy są mało urodziwi. Chyba nie będzie ani jednej ładnej dziewczyny” — wzdychają studenci wyższych lat. Pani dziekan Malkowska mówi z westchnieniem: „Z roku na rok jest gorzej, i jak tu wybierać? Aktorstwo przestaje być chyba atrakcyjne. Zgłaszają się do nas wyjątkowo nie nazbyt piękne dziewczęta, z chłopcami też nie jest najlepiej. Miejmy nadzieję, że są chociaż zdolni”.

CZY BĘDZIEMY MIELI NOWEGO RENOIRA?

Do Szkoły Plastycznej zdawały dziewczęta bardzo ładne. 230 kandydatów wraz z podaniami złożyło własnoręcznie wykonane prace — rysunki i obrazy. Na ich podstawie 160 osób dopuszczono do egzaminu. Szalugi podczas egzaminów praktycznych były tak stłoczone, że dotykały niemal siebie. Egzamin odbywał się w jednym z budynków Szkoły. Dawniej znajdowała się tu fabryka. Niewielka sala, źle oświetlona. Nie z każdego miejsca kandydat patrzeć mogli swobodnie na modele. Błękość kolegów nie wpływała też dobrze na zdających. Zdarzył się nawet wypadek. Przed dom na Narutowicza przyjechała karetka pogotowia. Jednej ze zdających szaluga spadła na nogę i złamała jej palec.

Decydujące w Szkole Plastycznej były egzaminy praktyczne — rysunek z natury, malarstwo — martwa natura i kompozycja. Adeptki plastyki na egzaminie pisały charakterystykę ulubionego pisarza, i omawiali dowolne dzieło sztuki (teatr, film, obraz). Początkowo sądzono, że można przyjąć na pierwszy rok — tak jak dawniej — 25 studentów. Ale już w trakcie egzaminów rozszalała się radośność nie tylko dla kandydatów, ale i dla komisji. Ministerstwo zwiększyło przyjęcia. Przyczyną Szkoła jeszcze 10 miejsc. Podobno decyzja zapadła po wizycie na szkolnej wystawie wiceministra i najwyższych władz łódzkich.

Większość kandydatów to absolwenci Liceów Plastycznych. Ci byli najlepiej przygotowani „technicznie”. Egzaminy ustne prowadzone były w formie swobodnej konwersacji. Stwierdzano nie tyle wrażliwość kandydatów, choć i te naturalnie brane były pod uwagę, co ich inteligencję. Pytania były więc najrozmaitsze, i dotyczyły spraw nie tylko związanych z plastyką i malarstwem. Wchłazł zagadnień był bardzo szeroki — od zagadnień polityki międzynarodowej do spraw regionu z którego kandydaci pochodzą.

CZY BĘDZIEMY MIELI NOWEGO CLAIRA?

„Wymień kilku znanych twórców programu telewizyjnego? — zadał jednemu ze zdających pytanie profesor Mierzejewski na egzaminie ustnym w Szkole Filmowej. Nastąpiła długa cisza a potem zwięzła odpowiedź. Kółko i krzyżyk, a także teleturniej. Doktor Stanisław Kaszyński pyta o jedną ze sztuk Dickensa. „Chrzaszcz za kominem” — odpowiada kandydat. „No niezupełnie, też na „sz cz” — pomaga doktor Kaszyński. „Przepraszam, pomyliło mi się” — mówi speszony chłopak. „Nie chrzaszcz za kominem, tylko chrabaszcz, chrabaszcz za kominem”.

Wśród wielu znakomitości zasiadających w komisji, był również profesor Wohl. Niektórzy spośród kandydatów wiedząc o tym, na każde pytanie: który film, który spektakl Teatru Telewizyjnego najbardziej im się podobał i dla-

PRE-HISTORIA

„Przy nim składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia...”
Stara Bań — pogrzeb Wisza

Oto cztery kąty Obdarzone darem placu i pięć od bieli po płomyk Przesycony ciepłem jej rak Tożsamość drzwi Stwierdzają wedrujące daktylogramy moich palców A jednak gdy zapiałem palto I posłałem od drzwi niezgrabne spojrzeń odjazdu Kąty nie zapialo Kąty nie pobiłogostawili Drzwi uchylili progę Wyszło więc szydło z worka Ten pokój jest wybornie skopiowaną makieta Tylko tamte okulary patrzą z biurka Uważnie z nateżeniem Jak ktoś komu Odcięto pamięć I dopiero teraz Skojarzywszy sobie niejasne wypadki dnia dzisiejszego Pojąłem Że owa myszata ciężarówka co to wynurzywszy się spoza zakreću Szła krok w krok za nami Wywiozła na cmentarz I dawny nasz dom



ELEMENTARZ

- Oto cztery kąty
- wypełnione szeptami
- A to pięć
- nabity dawnym ciepłem
- Tu przyjechał syn
- To jest matka a to zegar
- czas wyszedł za próg zegara
- Czas stoi a matka leży
- Matka ma
- krzyżyk
- świece
- asty
- Wszystko ma tylko nie ma czasu
- Więc nie może dać synowi herbaty

czego — recytowali bez zająknięcia. „Tytułu nie pamiętam, ale pamiętam, że realizował go pan Wohl”. „Dlatego mi się najbardziej podobał, bo realizował go pan Wohl”.

Obok w salce zdawali egzaminu słuchacze pierwszego, tak zwanego unitarnego, roku. Podobno kilku z kandydatów, obserwując cierpienia swych starszych kolegów, nie zgłosiło się na egzamin. Jeden z nich powiedział: — „Nie wiedziałem, że tu trzeba się uczyć”.

Niektórzy ze zdających stają przed komisją nie po raz pierwszy. Profesor Mierzejewski pamięta ich świetnie, wita jak starych znajomych, zadając zawsze te same pytania — co robili przez ten rok, który minął. Wszyscy odpowiadali naturalnie, że przygotowywali się do egzaminu. „To widać” — odpowiadał zjadliwie profesor Mierzejewski — „Ale powiedz, coś takiego robił?”

— „Pracowałem w amatorskim klubie filmowym, montowałem filmy, chodziłem do kina”. Ale zapomniałeś o tym, że trzeba się uczyć”.

Takich mniej, lub bardziej anegdotycznych sytuacji można by przytoczyć wiele. Wynikają one z dość znacznej rozpiętości uzdolnień i nie zawsze należytego przygotowania kandydatów. Do Szkoły filmowej zdawali, jak określała magister Maria Kornatowska „pistolety” (to znaczy kandydaci świetnie przygotowani) i „zupełnie nieporozumienia” jak określali studenci Szkoły.

By lepiej poznać kandydatów Szkoła organizuje specjalny kurs selekcyjny. Tu już na konkretnych ćwiczeniach bada się dokładnie wrażliwość plastyczną i zdolności widzenia i kbarzenia zdających. Kurs jest trudny. Trwa cały tydzień i dość wszechstronnie wykazuje zdolności kandydatów.

Kto zostanie przyjęty? Na razie na to pytanie, nikt, nawet wysoka komisja, nie może odpowiedzieć. Kurs selekcyjny jeszcze trwa. Komisja odrzucała po raz drugi jednego z kandydatów. Profesor Wohl spokojnie stwierdził — „Zobaczcie, że ten chłopak który teraz tak słabo wypadł, za dwa lata będzie naszym studentem i to studentem dobrym”.

Świadomość tego, że zbyt surową decyzją można skrzywdzić kandydata, zmusza do bycia ostrożnym, nie rozwinąć talent, sprawić, że komisja — i to zarówno w Szkole aktorskiej, plastycznej, jak i filmowej — bardzo szczegółowo i ostrożnie podejmowały decyzje. W końcu tygodnia listy z przyjętymi kandydatami zostaną wypieszczone na tablicach ogłoszeń. Nowy rocznik studentów zacznie wstąpić w atmosferę uczelni. Teraz różnica między kandydatami, a studentami szkół artystycznych były jeszcze widoczne. W szkole plastycznej zdające dziewczęta były zupełnie inne, niż starsze koleżanki. Inaczej się czesały, inaczej były ubrane.

W Szkole Teatralnej rzuciła się w oczy brak wyrazu twarzy u zdających. Twarze starszych studentów wyraźnie określały ich osobowość. I to, jak nam się wydawało, nie jest tylko sprawą wieku. W Szkole Filmowej kandydatki — jeżeli można tak określić — były „surowi” i niezmanierowani. Jedyną oznaką „awangardowych” upodobań była tu czerwona kamizelka i muszka jednego ze zdających. Ale z biegiem czasu różnice zaczęły się zacierać. Atmosfera uczelni zaczęła działać w dodatnim i ujemnym znaczeniu. Losy studentów potoczą się utargą droga.



Z WYSTĘPÓW ZESPOŁÓW AMATORSKICH W ŁOWICZU



„HARNAMOWCY” ĆWICZA

Fot. W Biliński



PROVERBS AND SAYINGS

- A friend in need is a friend indeed.
- A little pot is soon hot.
- All is well that ends well.
- All that glitters is not gold.
- Actions speak louder than words.
- A good beginning makes a good ending.
- Appetite comes with eating.
- Be slow to promise and quick to perform.
- Better late than never.
- Diamond cuts diamond.
- East or West home is best.



ER KONNTE NICHT SCHLAFEN

Es war im Krankenhaus. Ein Kranker konnte nicht schlafen. Er bekam Luminal. Es half aber nichts. Der Arzt kam und sagte:
 — Heute bekommen Sie auch Luminal.
 — Aber Herr Doktor, es hilft nichts.
 — Es hilft nichts, sagen Sie. Hm. Ich werde Ihnen ein besseres Medikament geben. Zählen Sie bevor Sie schlafen gehen.
 — Ich danke Ihnen, Herr Doktor. Ich werde ganz bestimmt zählen. Ich will endlich etwas schlafen.
 Am nächsten Morgen kam der Arzt wieder und fragte:
 — Nun, mein Lieber, haben Sie gezählt?
 — Ja, Herr Doktor.
 — Wie lange?
 — Bis fünftausendsebenhundertsechshundertzweiundneunzig.
 — Aber dann sind Sie eingeschlafen?
 — Nein, dann sind Sie gekommen.



IT IS SO IMPORTANT FOR ME

Joseph Turner was a great painter. He had a dog. One day the dog broke a leg. The painter sent for a doctor. He did not send for a veterinary. The doctor came and Turner said:
 — Doctor, I am glad to see you. My dog has broken a leg. I know that you are too great for this work but please do it. It is so important for me.
 The doctor was angry but he did not show it.



The doctor asked Turner to come to his house next day. Turner came to the doctor's house and the doctor said:
 — Mr. Turner, I am so glad to see you. I want you to paint my door. I know that you are too great for this work but please do it. It is so important for me.

EXPERIMENT

Schon im achtzehnten Jahrhundert wollten die Menschen wissen, was besser ist: Kaffee oder Tee. Niemand konnte die Frage beantworten.



Dieselbe Frage stellten die Einwohner von Schweden an ihren König. Aber Gustav III konnte diese Frage auch nicht beantworten.
 Eines Tages wurden in Schweden zwei Mörder zum Tode verurteilt. Der König wandelte die Strafe und sie bekamen lebenslängliche Haft. Die Mörder waren damals 39 Jahre alt. Der König liess jeden Tag dem einen Mörder eine Tasse Tee geben, dem anderen eine Tasse Kaffee. Die Mörder lebten sehr lange. Endlich starb der Teetrinker mit dreihundachtzig Jahren und der Kaffeetrinker drei Monate später.
 Also, Kaffee ist besser, nicht wahr?

TADEUSZ PAPIER



o rannej godzinie

5
 Magda i Mariola, bohaterki „Magdaleny” przeżyły najgorsze chwile nie w więzieniu ale po opuszczeniu więzienia. Magda nie wróciła do matki, zatrzymała się u siostry Marioli, Ireny. Przyjaciółki trafiły właśnie na ślub treny. Nie którzy goście weselni, zwia szcza kolega pana młodego Tosiek, zachowywali się w stosunku do dziewcząt zbyt swobodnie. Magda i Mariola nie czekały już końca wesela i pojechały na Chojny, do ciotki. Tymczasem Tosiek nie daje spokoju dziewczętom. Zatelefonował do nich i zaproponował spotkanie w Grandce.
 Magda początkowo odmawia, ale kiedy ciotka przynosi wiadomość, że rozmawiała z Geografem i że Geograf wzywa dziewczęta do siebie, zgodziła się na to spotkanie. Niestety, i ta randka nie przynosi naszym bohaterkom zadowolenia. A nazajutrz Mariola zaprowadziła Magdę do Geografa.

Nie dałam Geografowi po gębie. Nie wyzwalam go od mały. Pan sam rozumie, że nie mogłam tego uczynić. Weszliśmy do pokoju, a on powiedział: „Szlachetna Armido, uczelnia zalatwiona”. Cmoktał przy tym fajkę, chociaż dawno wygasa. Byłabym wyrwała ją z gęby i potrzaskała na drobne kawałki. Taka byłam zła. „Jaka to uczelnia, panie profesorze?” — zapytała Mariola. I niech pan słucha. Normalny człowiek odpowiedziałby na tychmiast na pytanie. A on nic. Nabłł sobie najpierw fajkę, zapalił, wypuścił na nas kłęb dymu i dopiero zaczął się odezwać. „U mnie, dziecino”. „Jak to u pana profesora?” — zapytałam. „Ano tak — odparł. — Jest koniec roku i która buda cię przyjmie? Przypomnij sobie to, co zapomniałaś i we wrześniu będziemy zdra wać do dziesiątej. Już to obgadałem”. „Bede przychodzić do pana profesora?” — zapytałam. „Do mnie dzieci-

no”. Powiedział to takim tonem, że nie warto było sprzeczać. Co by to zresztą pomogło? „A ty co? Może na Lokatorska?” — zapytał z kolei Mariole. Pan wie, na Lokatorskiej jest buda dla pracujących po wyro-kach sądowych. Podobno nieźła. Słyszałam o jednej dziewczynie, która tam chodziła. Miała więcej na sumieniu niż my obydwie z Mariola razem. Ceśka mi o niej orwiadała. Pan sobie przypomina Ceśkę? To ta wariatka, która mi wróżyła, że wróce do ciupy. Więc ta dziewczucha była taką rozrabiarą, że nawet milicjanci się jej ball. Jednemu chciała oczy wydrapać. Jednego razu rozbrała się w kawiarni do naga i musielł dzwonić po karetke. Odsiedziała swoje, skończyła szkołę i teraz kieruje się na nauczycielkę. Taka powlastka o nawróco-nej grzesznicy. Dla zbudowania naiwnych. „No więc jak, panno Mariolo?” — zapytał Geograf. Umysłnie mó-

wił na Mariole „panno”, albo „pani”, a mnie przezywał od Armid. Czasami ją „tykał”, ale to inaczej wychodziło niż ze mna. „Dziękuję, panie profesorze, idę do pracy” — odrzła Mariola.

Pan sobie pomyśli, że w tym dniu otwarła się przede mna brama niebios? Że Geograf stał się dla mnie opatrnościowym człowiekiem? Owszem, za takiego uważała go ciotka. Przyjechałyśmy na Chojny i musiałyśmy opowiedzieć ciotce dokładnie o wszystkim. Ciotka złożyła ręce jak do modlitwy. „Boże święty — powiedziała — niech temu profesorowi niebo sprzyja”. I pobiegła zaraz do kredensu po swój kieliszek. „Fajdam w mleko pana profesora, jak mówi Hemingway” — zawołałam. „Coś ty, Magda, sumienia nie masz!” — krzyknęła ciotka i kieliszek wypadł jej z ręki. „Bambino, bambino — zaczęłam śpiewać, a właściwie drzeć się jak wariatka — profesor święty, i ciotka święta, i Mariola święta, a tylko ja parszywa owca, ach bambino”. Pan się dziwi? Tak samo śpiewała ta dziewczucha, która chciała zabić swojego gnebiciele. Wie pan, o kogo chodzi. „Express” pisał o tym. Ciotka myślała, że zwirowałam. No bo takie przedstawienie urządzać. Wiedź jeszcze głośnieć się darłam „Niech szlag trafi życie!” — zawołałam i wybiegłam z domu. Poleciałam do altanki, rzuciłam się na ławkę i zaczęłam rzyceć na cały głos. Bo ja wiem, proszę pana, dlaczego tak rzyczałam? Jak Boga kocham, do dziś nie wiem dlaczego. Trzesłam się jak galareta. Wszystko we mnie plakało. Boże święty! Mariola zaraz przybiegła za mną. „Coś ty, Magda — powiedziała i ob-

jęła mnie za szyję — Uspokój się, wariatko! Chodź do domu”.

Widzi pan, jaka ze mnie kretynka. Nazajutrz rano ciotka i Mariola pojechały do miasta. Mariola powiedziała, że rozejrzy się za jaką pracą. Ciekawa byłam, co też ona wypatrzy i z czym wieczorem przyjedzie. Już się tam wszyscy przyszykowali, żeby jej dawać pracę! Na śmiech mi się zbierało, kiedy mówiła o tym do ciotki. Mnie zaś zostały w domu i kazały przyszykować obiad. Nawet byłam zadwo-lona, że bede sama. Wyciągnęłam sznur od telefonu z gniazdka, bo nie chciałam z nikim gadać. Niech się teraz dobijają! Boże święty! Miałam już dość tych wszystkich rozmów. Gdybym tylko miała odpowiadać na każdy telefon, musiałabym nie robić tylko wisieć przy słuchawce. Potem wyszłam do ogrodu i porobiłam trochę przy kwiatach. Ciotka

uwielbiała kwiaty i nie jej nie sprawiło jej przyjemności, jak kiedy widzia-ła, że i mnie to interesuje. Co do mnie, to mogłabym spać w kwiatach. Uwielbiam wszelka zielen. Niech pan sobie wyobrazi, że zaledwie podlałam kwiaty i zmiotłam przed schodami, kiedy usłyszałam dzwonek przy furcie. Poszłam otworzyć i niech pan zgadnie, kogo zobaczy-łam. Ręce mi opadły z wra-żenia. Jasne, że Kostka. Bo-że, co za kretyn! „Może mi otworzysz, szlachetna Armido?” — rzekł do mnie. Gdy-cho go nie widziela, my-ślałabym, że to mówi Geo-graf. Jeśli się spodziewał, że mnie rozśmieszysz, to się grubo rozczarował. Przybrałam obojętny wyraz twarzy i po-wiedziałam: „Proszę bardzo”. Nie mówiłam wczoraj Kost-kowi, gdzie mieszkam, oj-ciec mu też tego z pewno-

Dalszy ciąg na str. 10



YOU MAY BE ANGRY

Once Mark Twain was travelling in France by train. He was going to a small town near Paris.

He was very tired and wanted to sleep. He asked the conductor to wake him up when they got to the town. It was early morning when he woke up and the train was already in Paris.

He ran up to the conductor and cried:

— Why didn't you wake me up? I am very angry with you.

The conductor looked at him for a moment and answered:

— You may be very angry, sir, but not so angry as the American whom I put off the train instead of you.

A GLASS OF MILK

An Englishman was traveling in Spain. He did not speak Spanish and he did not understand this language.

It was a hot day. He said:

— I think I shall go in a restaurant and have a glass of milk.

He sat down at a table. The waiter came, but the Englishman did not know the Spanish word for milk. He asked for a pencil and paper and drew a picture of a cow. The waiter looked at the picture for a long time. Then he left the restaurant.

The Englishman waited for a long time. Finally the waiter came and brought a ticket for a bull-fight.

FAISCHE ADRESSE

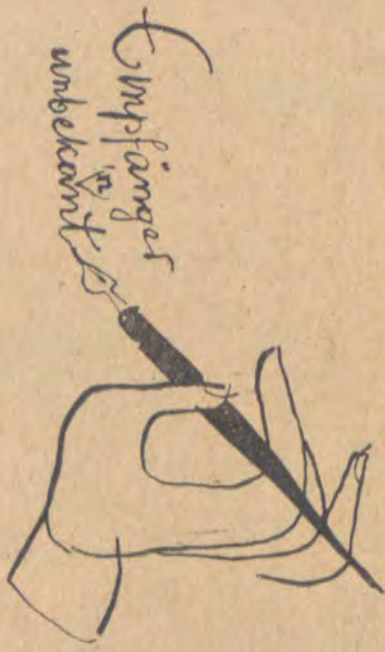
Der italienische Dichter d'Annunzio lebte einige Zeit in Frankreich. Eines Tages bekam er einen Brief. Der Diener sagte:

— Hier ist ein Brief mit der Adresse: An den grössten Dichter Italiens.

— Ich nehme den Brief nicht an, — sagte d'Annunzio.

— Aber warum, — fragte der Diener.

— Ich bin nicht der grösste Dichter Italiens. Ich bin der grösste Dichter der Welt.



THE LAZIEST

Three lazy fellows were lying in the sun. A gentleman said:

— Here is a sixpence to the laziest of you.

Up sprang one of them:

— Give it to me. I am the laziest.

The gentleman said:

— Oh no, you are not.

Up sprang the second boy:

— Give it to me. I am the laziest.

The gentleman said:

— Oh no, you are not.

The lying boy said:

— Put it into my pocket, sir.



NUR FRANZOSE

Voltaire machte im Jahre 1727 eine Reise nach England. Die Engländer liebten die Franzosen nicht. Deswegen fühlten sie sich dort unsicher.

Eines Tages ging Voltaire durch den Hyde-Park. Es war ein schöner Tag. Voltaire war zufrieden.

Plötzlich kamen Frauen und Männer und schrien:

— Er ist Franzose! Er muss sterben!

Voltaire stand ruhig und schaute auf die vielen Frauen und Männer. Dann sagte er:



— Engländer, ihr wollt mich töten, weil ich Franzose bin, nur Franzose. Ihr seht, der Gott hat mich schon bestrahlt, weil ich kein Engländer bin. Jetzt wollt ihr mich noch bestrafen. Warum?

Die Frauen und Männer sahen kein Wort. Sie standen noch eine Weile, schauten auf den Klugen Franzosen und dann gingen sie weiter. Voltaire ging ruhig nach Hause.

Dalszy ciąg ze str. 9

cia nie powiedział, on mnie jednak odnalazł. Stałam jak głupia przed nim i nie przyszło mi do głowy, żeby go w jakiś sposób splawić. „Nie przejmuj się, Magda” — powiedział i sam się skłonił do ogrodu. „Ładnie mieszka” — zauważył. Usiedliśmy na ławeczce. Opamiatałam się i usiłowałam oczywiście zagać jaką rozmowę, ale mi nic nie wychodziło. Kostek wyciągnął papierosa. „Zapalisz?” — zapytał. Zapaliliśmy i Kostek powiedział: „Jak to pięknie, że się spotykamy”. Czulałam się jak ostatnia idiotka. Bo w oczy się rzuciło, że jestem zła na Kostka, a tu musiałam grać rolę gospodyni. Śmiech było patrzeć na to wszystko.

„Jesteś sama w domu? Nie przeszkadzam ci? Gdzie jest Mariola?” — Kostek zapytał mnie pytaniami. Miał przy tym taką minę, jakby był pewny, że mi sprawił szaloną przyjemność swoimi odwiedzinami. Śmieszny typ. Mariola widocznie dobrze go wczoraj oblaskawiła, skoro tak śmiało się zachowywał. Jednak nie przypuszczałam, że będzie mnie szukał aż na Chojnach. Najgorsze, że nie miałam wcale ochoty na żadne flirty. „Czekam na telefon — powiedziałam do niego. Właśnie miał do mnie ktoś zadzwonić”. „Umówiłaś

się z kimś na dzisiaj?” — zapytał. „Owszem — odparłam. — Jeden bardzo fajny gość. Doktor”. „Poważnie mówisz?” „Dlatego miałabym kłamać?” Byłam pewna, że mu nie w smak poszło moje wyznanie. Chłopaki tego typu nie lubią, gdy im się powie coś nieprzyjemnego. Narcyz albo Boruta wkurzyłoby w takim wypadku ramionami i jeszcze dodali coś soczystego na deser. Kostkowi wyraźnie nos się wydłużył. „Magda, wiesz, ty do prostu jesteś okropna”. Roześmiałam się głośno po raz pierwszy. „Dzięki za szczerotę” — rzekłam. Właśnie pan, Kostek był starszy ode mnie, ale strasznie naiwny.

Znudziło mi się w końcu to posiedzenie i powiedziałam Kostkowi, że muszę zająć się obiadem. „Nie szkodzi — odparł — pomogę ci”. No wie pan, to już mnie wkurzyło. Gość w żaden sposób nie chciał zrozumieć, że powinien się ulotnić. Wstałam z ławki i skierowałam się w stronę domu, a Kostek za mną. Nic już sobie z niego nie robiłam. Wystawiłam garnek z wodą i zaczęłam obierać ziemniaki. Podśmiewywałam przy tym i gwizdałam na przemian, ale na Kostka to nie działało. Gość okazał się gruboskórny. Najbezzelniej wtórzył mi tym swoim okropnym basem. „Kostek — zdenerwowałam się w końcu — możebyś się już pożegnał”. „Nie przejmuj się moją osobą, poczekam”. „Ale ja nie mam czasu”. „Nie szkodzi, nie potrzebujesz mnie bawić”. „Po co w ogóle przyszedłeś?” — zapytałam. „Czyżbyś nie zgadła?” „Jeśli do mnie, to szkoda zachodu” — powiedziałam. „Mam interes do Marioli”. „No i widzi pan. Można było z nim rozmawiać w ten spo-

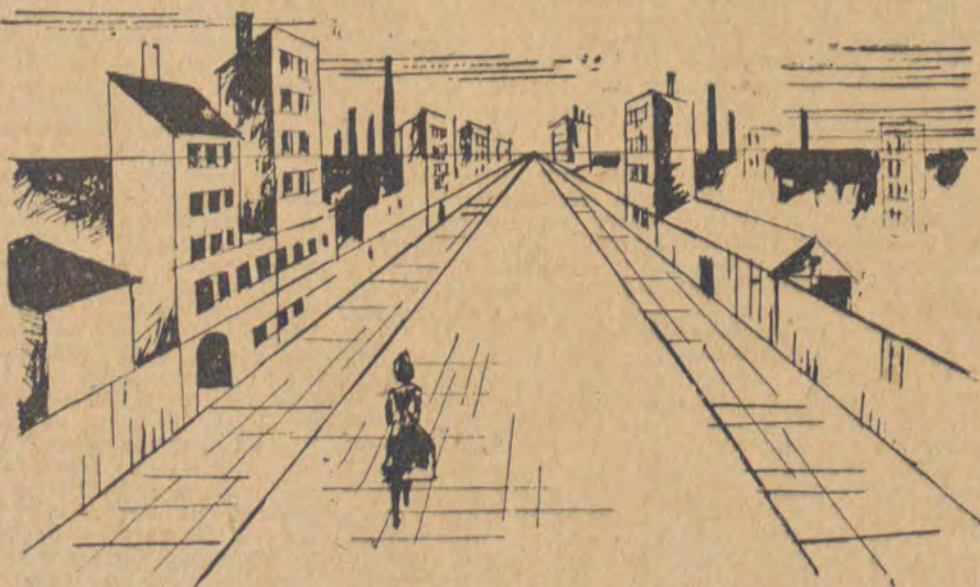
sób dzień i noc. W pewnej chwili wstał i podłączył telefon. „A ten twój doktor nie może się dodzwonić” — powiedział. Kretyn.

Całe szczęście, że ciotka miała przyjechać, bo bym już dłużej nie wytrzymała. Ale wie pan. Jak już co spada na człowieka, to całym seriami. Usłyszałam dzwonek i wybiegłam do furki. Myślałam, że dzwoni ciotka albo Mariola, ale niestety. Za furką stał Narcyz i uśmiechał się beczelnie. Rany boskie, przedź bym się śmierci spodziewała. Niech ran mnie zrozumie. Wiedziałam, że Narcyza mają zwolnić i że przedź czy później postara się mnie odszukać, ale nie pragnęłam tego spotkania. Pan sobie przypomina, jak mówiłam, że nie chce mieć nic wspólnego ani z Narcyzem, ani z Boruta. Miałam dość tego

towarzystwa. Nie, Boruta siedział jeszcze i życzyłam mu z całego serca, aby przedko nie wyszedł. Ale Narcyza zwolnili i przyszedł. Byłam tak zmieszana, że zapomniałam języka w gębie i tylko wykrztusiłam: „Narcyż, to ty?” „Serwus Magda. Cóż to? Tak witasz narzeczonego?” — zawołał. Boże święty, nie zaczął się krećć wokół mnie i wynajdywać coraz to nowe zalety. „Daruj, Narcyż, idź już, zobaczymy się kiedy indziej”. „Nie mogę, dzieci-no” — rzekł stanowczo. Nie było sposobu, aby się od niego uwolnić.

„Jak się żyje, Magda? — zapytał Narcyż. — Byłem u twoich staruch i przegonili mnie na cztery wiatry”. „Dobrze zrobili” — odparłam. „Nie, Magda, jesteś nie tylko ładna, ale i dowcipna”. „Jak tu trafiłeś?” „Pytanie! Ale dlaczego mnie nie za-

blaszysz do domu? Czyżbyś się nie ucieszyła moją osobą?” „Co znówu, Narcyż, proszę” — odparłam. Więc weszliśmy do domu. W sieni Narcyż objął mnie w pól i zaczął całować. „Co robisz, Narcyż, głupi wariacie!” — zawołałam i wyrwałam mu się. „Cholerna babka z ciebie” — zauważył. Nie wiem czy Kostek słyszał naszą rozmowę, co mógł sobie pomyśleć, ale wolałabym, aby się nie spotkali z Narcyzem. Weszliśmy do pokoju i powiedziałam: „To Narcyż, a to Kostek”. Uśmiechnął się do siebie i widziałam, że Kostek nie był zachwycony wizytą Narcyza. Narcyż natomiast uśmiechał się pełną gębą. Powiedział: „Cześć Kostek”. Nie dał poznać po sobie czy mu towarzystwo Kostka odpowiadało, czy nie. „Wydaje mi się, żeśmy się już gdzieś spotkali” — rzekł do Kostka. „Możliwe” — odpowiedział tamten. „Jestem pewny, że cię gdzieś widziałem” — upierał się Narcyż. Trzeba było widzieć, jaka miał przy tym minę. Stary lis. Ale Kostek nie dał się wciągnąć w rozmowę. Więc Narcyż zwrócił się do mnie i zapytał: „Słuchaj Magda, a co z Mariolą?” „Mieszka ze mną u ciotki. Jest teraz w mieście”. „Nie, naprawdę? Co mówisz?” „Naprawdę”. Można się z nią zobaczyć?” „Jest w mieście. Szuka pracy”. Narcyż wybuchnął śmiechem. Ryczał, jakbym powiedziała porządny kawał. „Co słyszę? Mariola szuka pracy. Mariola chodzi po ulicach i szuka pracy? To świetne”. „Nie wyglądasz się Narcyż” — rzekłam. Bałam się, żeby ten cymbał nie gadał zbyt wiele przy Kostku.



SPOŁECZNE MARGINESY

Takim wspólnym tytułem można by objąć dwie audycje ostatniego tygodnia: publicystyczny program K. Lubelczyka z cyklu „Marginesy” (22 czerwca) oraz program M. Marzyńskiego i W. Zadrowskiego „Wszyscy jesteśmy sędziami” (26 czerwca). Gdybym ja był autorem tych audycji, to pierwszą nazwałbym: „Dzieci oskarżają”, zaś drugą: „Gdy dziecko jest piłeczką pingpongową”. Obydwie audycje były na pewno „audycjami tygodnia”. Nie tylko z powodu doskonałej realizacji telewizyjnej, która w obu programach była „zapięta na ostatni guzik”, lecz przede wszystkim ze względu na doniosłość problematyki i jej społeczną wymowę. I trzeba sobie powiedzieć — jeszcze po cichu, żeby przedwcześnie nie zapisać — że publicystyka telewizyjna staje się coraz bardziej ostra, drapieżna, ambitnie sięga do niezwykle trudnych zagadnień życia społecznego, takich, które albo są „wstydlive” — więc nie mówi się o nich głośno, lub takich, które są „niebezpieczne”, więc lepiej o nich nie mówić głośno.

Publicystyka telewizyjna stara się poddać te marginesy dzieł życia społecznego wszechstronnej, a przez to — wnikliwej analizie, tak że widzowie otrzymują już dużo więcej ponad zwykły program publicystyczny — otrzymują coraz to lepsze dokumenty, nie pozbawione wartości socjologicznych. Tak przynajmniej było w przypadku audycji Lubelczyka i Marzyńskiego.

„Dzieci oskarżają” — zaproponowałem swoją nazwę dla „Marginesy” Lubelczyka. Takie wrażenie wywołuje w audycji, pomimo kulturalnego i całkowicie neutralnego stanowiska realizatorów. Zaznaczam, że jest ono moją subiektywną oceną. Jeżeli wy, drodzy czytelnicy, wynieśliście inne przekonanie, proszę bardzo — napiszcie do mnie, starając się uzasadnić swój punkt widzenia.

W „Marginesie” przedstawiono nam pewne święto: Dzień Dziecka. Pamiętamy na pewno wszystkie jeszcze do dziś ten dzień: składaliśmy życzenia swoim dzieciom, życząc im szczęścia — a że wszystkich kiedykolwiek składanych życzeń, to dla naszych dzieci wychodzą poza schemat popołudniowego banalnego, „bo przecież...” o ile bardziej byłibyśmy ubożsi, nie wierząc, że ich przyszłość nie będzie lepsza od naszego życia — mówił narrator „Marginesy”. Jednak ten dzień — radośny dla naszych dzieci, a przez to, radośny i dla nas, rodziców, miał swoją odwrotną stronę medalu. Zatrzyma-

no w samej tylko Warszawie prawie dwieście dzieci — młodych przestępców, złapanych na gorących uczynkach — kradzieży i włamań. I te dzieci w trakcie autentycznych przesłuchań na wizji, w autentycznych życiorysach (gdzie dzieci niechętnie zwierza się dorosłym — dlatego pani sędzia niewiele mogła z nich wydobyć), natomiast ufają kartkom papieru) oskarżali swoich rodziców. Autorzy audycji umożliwili widzom konfrontację z rodzicami i to był — przynajmniej dla mnie — najtragiczniejszy moment w programie: rodzice, poza zreferowaniem warunków bytowych swoich dzieci, — nie potrafili odpowiedzieć na pytanie — dlaczego? Dlaczego ich dzieci wszystkich — dobrych uczniów, rodzice inteligencji, warunki materialne — dobre, trafiły na marginesy życia? Na to pozostawiono bez odpowiedzi pytanie, wypowiedziały się również bohaterowie audycji — dzieci wykolejone — widzieliśmy sami — stąd ja — uwierzyłem dzieciom.

Być może, odpowiedź na tragiczne pytanie: dlaczego? — dała audycja Marzyńskiego „Wszyscy jesteśmy sędziami”, dla której zaproponowałem nazwę — „Gdy dziecko jest piłeczką pingpongową”. O pięcioletnią dziewczynkę rozegrano w sądzie już dwadzieścia spraw. Ostatnia przysądziła dziecko ojcu. Ta, trzynastoletnia, na małym ekranie, w której sędzią byliśmy wszyscy, także przysądziła dziecko ojcu. Ale zdajemy sobie sprawę, że ani „sprawa telewizyjna”, ani sprawa sądowa nie są ostatecznym zamknięciem toczonych pomiędzy rodzicami, oczywiście w imię uczuć rodzicielskich — ojcowskie kontra macierzyńskie — sporu o dziecko. Matka porzuca dziecko ojcu, ojciec szuka i sprawa ją przez milicję, ojciec „obrzydza” matkę dziecku, matka wniosła apelację do sądu, sąd przynajmniej dziecko matce, ojciec wnosi apelację do sądu, sąd przynajmniej dziecko ojcu — i tak toczy się mechanizm zdarzeń, w którym każda strona ma swoje wielkie racje — miłość do dziecka — a dziecko? — Dziecko jest piłeczką pingpongową.

„Nie zauważyłem u swojej córki momentu decydującego, zwrócić, od którego zaczęła zmieniać się na gorsze. Wreszcie spostrzegłem, że dziewczynka jest w ciąży. Co miałam zrobić? Zdecydowałam przenrowadzić zabieg, przeniosłam córkę do innej szkoły, ale ona nadal jest „taka” — powiedziała w programie Lubelczyka jedna z matek. Lancetem trudno wychoćwać, prawda?”

KOWALSKI

TELEWIZJA

ZE ŚWIATA

Alfred Hitchcock uchodził za największego specjalistę od filmów sensacyjnych. Na naszych ekranach widzieliśmy jego „Okno na podwórko”, „Akt oskarżenia”, „Rebekę”, „Urzeczoną” i dawniej „Podejrzenie”. Ale po-



udało mu się... uciec oknem. Innym razem podobną audycję zakończył słowami: „mogą państwo nie słuchać i nie oglądać dalej programu, ponieważ i tak nie powiem jak się to wszystko skończyło”. W maju br. telewizja NRF zakupiła telewizyjny seryjny film Hitchcocka pt. „Jego zwłoki miały światową sławę”. Niestety, widzowie w Bawarii nie ujrzeli tego filmu, ponieważ ostro sprzeciwili się temu — dyrektor tamtejszego ośrodka TV, oraz wpływowy pastor Werner Hess. Podczas realizacji jednego ze swych filmów Hitchcock stwierdził: żaden przestępca nie jest tak inteligentny jak bohaterowie moich filmów, ale też żaden nie ma TAKIEGO reżysera. Na zdjęciu: Alfred Hitchcock

Udało mu się... uciec oknem. Innym razem podobną audycję zakończył słowami: „mogą państwo nie słuchać i nie oglądać dalej programu, ponieważ i tak nie powiem jak się to wszystko skończyło”. W maju br. telewizja NRF zakupiła telewizyjny seryjny film Hitchcocka pt. „Jego zwłoki miały światową sławę”. Niestety, widzowie w Bawarii nie ujrzeli tego filmu, ponieważ ostro sprzeciwili się temu — dyrektor tamtejszego ośrodka TV, oraz wpływowy pastor Werner Hess. Podczas realizacji jednego ze swych filmów Hitchcock stwierdził: żaden przestępca nie jest tak inteligentny jak bohaterowie moich filmów, ale też żaden nie ma TAKIEGO reżysera. Na zdjęciu: Alfred Hitchcock

Jedną z angielskich firm produkującą sprzęt telewizyjny produkuje kamery spełniające funkcje wartowników. Ważą one około 3 kg i sięgają długości 28 cm. Znalazły one zastosowanie w sklepach, magazynach, na wystawach; gdzie pracują w ukryciu przekazując obraz mającemu pieczę nad danym obiektem detektywowi. Tego rodzaju zastosowanie telewizji widzieliśmy na wystawianym przed paroma laty filmie francuskim „Lunatyk” z Fernandem w roli głównej.

Telewizja Szwajcarii Niemieckiej wprowadziła do swego programu pozycje przypominające nasze książki i zaleceń pt. „Klub reklamujących”. W audycjach tych kupujący zgłaszają reklamacje w związku z nabytym towarem. Fabrykanci wybrakowanych przedmiotów zmuszeni są udzielać wyjaśnień na stawiane im zarzuty. Czy u nas nie przydałby się jakiś telewizyjny „wujcio Partaczyno?”

TV a Twoje dziecko

List uczennicy

Z cyklu — „TV a Twoje dziecko”, drukujemy list bezpośrednio zainteresowanej.

„O telewizji sądzię trochę inaczej niż stały odbiorca jej programu, ponieważ telewizora nie mam i oglądam tylko te audycje, które mnie specjalnie interesują.

Bardzo lubię oglądać filmy seryjne: „Znak Zorro”, „Niewidzialny człowiek”, „Mój koń”. U sąsiadów wtedy wszelkie odgłosy domowe muszą ucichnąć i wszyscy, nawet dorośli, śledzą z przejęciem kłopoty Joey'a. Oczywiście przed odbornikiem wszystkie dzieci z całej klatki schodowej. „Ja bym bardzo chciał być niewidzialny” — mówi z przejęciem siedmioletni Jacek. Zauważyłam, że dorośli najchętniej siedzą przed telewizorem w późnych godzinach wieczornych, natomiast dzieci odbierają program jednym ciągiem.

Kiedyś bardzo podobały mi się „Kobry”. Jeszcze przed kilkoma miesiącami sąsiadzi zapraszali gości nie na niedzielę, lecz na czwartek. Teraz ten entuzjazm cokolwiek osłabł, ponieważ ostatnio co „Kobra” — to makabra. Szczególnie ta ostatnia z Katowic „Zegnąc pryncypale”, przynajmniej mnie bardzo rozczarowała. Nie lubię poza tym oglądać magazynów popularno-naukowych i publicystycznych. Zauważyłam, że i moi sąsiadzi, bardzo zresztą zapaleni widzowie, na czas

trwania tych audycji wyłączają telewizor. Bo kogo może zaciekawić tak skandalicznie nitelewidzowy „Poradnik rolniczy”? Telewizja w tym czasie mogłaby np. wyświetlić film o nowoczesnych maszynach rolniczych czy coś takiego, jak to robi program łódzki w audycji „W środku Polski”, która jest ciekawa i czegoś uczy. Natomiast bardzo podoba mi się audycja „Wszyscy jesteśmy sędziami”. Nie rozumiem tylko, dlaczego ta audycja jest wyłączona dla dorosłych, przecież porusza i dyskutuje się w niej pasjonujące tematy społeczne, o których nie tylko dorośli, ale i młodzież powinna wiedzieć. Staram się również obejrzeć każdy teatr TV. Ostatnio widziałam „Wywiad z Ballmeyerem”. Sztuka, której każde słowo nasuwa setki myśli, która nie tylko rozwiązuje przedstawiony przez autora problem winy, ale zmusza widzów do zastanowienia się: jaki był naprawdę Ballmeyer, czy był winien śmierci mieszkańców wyspy? A później to zagadnienie rozszerza się, spoza pleców Ballmeyera widać twarze Eichmanna i innych „niewinnych” i przekonanych o swej słuszności zbrodniarzy hitlerowskich. Byłam ogromnie poruszona tym spektaklem i dowiedziałam się z niego więcej o wojnie niż na lekcjach historii.

Grażyna Rzepecka kl. IX, XXIII Lic. ul. Łęczyska 23.

POLECAMY AUDYCJE

W czwartek (5. VII.) na czło programu wysuwa się „Kobra”. Tym razem ujrzymy inscenizację powieści kryminalnej Earla Derr Biggersa „Za kurtyną” (wydana w Polsce w 1959 r.). Dymisjonowany detektyw Scotland Yardu Fryderyk Bruce przyjeżdża do San Francisco, gdzie pragnie rozwiązać zagadkę popełnionego przed piętnastu laty morderstwa. Pomaga mu w tym niestrudzony Charlie Chan, jedna z najpopularniejszych postaci książkowych detektywów. Przed wojną nakręcono w Hollywood wiele filmów, których bohaterem był Charlie Chan chiński detektyw z Hawajów. Biggers napisał „Za kurtyną” w 1938 r. Przedstawienie nada Poznań o godz. 21.00.

W piątek (6. VII.) o godz. 18.00 transmitowane będą z Pragi konkursowa świata w gimnastyce (konkurencje męskie). Ten punkt programu będzie się na pewno cieszył dużą popularnością wśród widzów. O 20.25 w ramach Wszelchnicy Telewizyjnej pokazany zostanie film

prod. USA „Kształt ziemi”, o godz. 21.00 ujrzymy program rozrywkowy z Gdańska.

W sobotę (7. VII.) o 17.40 wyświetlone zostaną pierwsza część „Dwa przyjaciele” seryjnego filmu prod. kanadyjskiej „Opowieści nad rzeką”. O 18.00 transmisja z Pragi, tym razem konkurencje kobiece mistrzostw świata w gimnastyce. Kolejnego „Pegaza” ujrzymy o godz. 20.00. Wreszcie o 21.00 — program estradowy.

W niedzielę (8. VII.) o godz. 18.40 Łódź nada w programie ogólnopolskim koncert muzyki popularnej i rozrywkowej. O 16.10 będziemy gościć u „Mieszkańców dalekiej Północy”, o co postarał się Walt Disney. Miłośników muzyki Jana Straussa czeka prawdziwa uczta, gdyż o 21.00 transmitowany będzie z Drzyna „Wieczór Jana Straussa w dreźnieńskim Zwingerze”. Po wiadomościach sportowych transmisja z Pragi, gdzie rozgrywane będą konkurencje kobiece na 4 przyrządach.

„TELEMAN”

informacje i zachełki

Bardzo ciekawa ekspozycja miała w ostatnich dniach miejsce w Muzeum Włókiennictwa. Wystawiali tam mianowicie swe prace uczniowie Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych. Na wystawie panowała godna pochwały różnorodność od tkanin artystycznych do grafiki i rzeźby.

Sprawozdawca „Dziennika Łódzkiego” pisząc o telewizyjnej realizacji „Zalotów wiejskich” Shawa zauważa, że reżyseria była „sympatyczna”. Wiemy skądinąd, że sympatyczny jest na pewno sam sprawozdawca, ale na temat reżyserii próbowy się jakieg najbardziej precyzyjnie określić.

Na rogu Piotrkowskiej i Narutowicza do jadącego tramwaju wskoczył kilkunastoletni chłopiec. Za chwilę gwizdek, tramwaj staje i do wagonu wkracza milicjant. Niestety, winowajca nie znajduje. Uprzejmi pasażerowie użyli bowiem chłopcu beretu i okularów — zdezorientowany milicjant zrezygnował z poszukiwań. Wszyscy pasażerowie byli

bardzo zadowoleni z siebie. Całe to zdarzenie podajemy na odpowiedzialność warszawskich „Kuliśów”.

Nie jest zbyt bezpiecznie podróżować koleją. Jak ujawniono ostatnio w PKP ilość chuligańskich awanturników kolejątkich systematycznie wzrasta. W ciągu jednego roku zanotowano ich w samym tylko okręgu łódzkim ponad 100, z czego tylko w 80 wypadkach wykryto sprawców. Wynika z powyższego, że najbliższej podroźować zespołowo.

Wprost nie do wiary! Ponad 18 milionów złotych wydaje rocznie Łódź na swoje zieleńce, parki, skwery i kwiatniki.

W jednej z łódzkich gazet przeczytaliśmy w sprawozdaniu z jakiejś uroczystości zdanie: „Oh, X. w swoim występie stwierdził, że...” itd. Przypuszczamy, że po raz pierwszy spotykamy się z tą oryginalną formą. Wydało nam się jednak, że jest to wstęp do tekstu przeciwko językowi polskiemu.

W Łodzi planuje się budowę pięciu nowych kin, co lodzianie przyjmą zapewne z radością, bowiem jak dotąd, na 1.000 mieszkańców miasta przypada zaledwie... 17 miejsc kinowych.

J. W.

TEATR POPULARNY: „LIST”

Pamiętamy jeszcze tocząca się na łamach „Radia i Telewizji” dyskusję nad repertuarem Teatru Popularnego. Jednym z wypowiadających się był Andrzej Wróblewski, który domagał się przede wszystkim komedii. Nadchodził czas i na nią. Czwartą premierą TPT była jednoaktowa mistrza komediopisarstwa polskiego Aleksandra Fredry — „List”. Została ona napisana w 1825 roku po „Panu Goldhabe” i „Cudzoziemczyźnie”, i w tymże roku wystawiona we Lwowie. Nie doczekał się ten utwór rozgłosu „Zemsty”, czy „Ślubów panieńskich”, ale stał się przedmiotem sporu między najwybitniejszymi historykami naszej literatury. Chmielowski zaliczał „List” do fars, Tranowski nazwał go „drobnostką wesołą”, a Chrzanowski uważał, że „powinien być stawiany wyżej od popolitych fars ze względu na świetne charakterystyki postaci”. Ten ostatni nie ważył się zresztą nazwać „List” komedią charakterów. W słowie wstępnym, poprzedzającym piątkowy spektakl Lech Budrecki pogodził stanowiska Chmielowskiego i Chrzanowskiego nazywając „List” farsą, w której zwraca uwagę świetna charakterystyka głównego bohatera Orgona. Niezbyt rozbudowana akcja tej komedii wiąże

się harmonijnie z charakterystyką postaci. W „Liście” znaleźliśmy dużo komizmu sytuacyjnego, a oprócz tego doskonałą postać męża-zadrockońnika. Toteż ocena Budreckiego wydaje mi się jak najbardziej trafna. Motywo, które autor zaczerpnął z twórczości Andrzeja Maksymiliana Fredry: — „Pokazuje, że może być oszukany, kto się łatwo stracha, aby nie był oszukany”, jest zarazem tematem i morałem tej „drobnostki wesołej”. Chmielowski pisał o twórczości Aleksandra Fredry: — „Dał nam komedie typów powszednich, tak wesoła, tak plastyczna, tak dowcipna, jak u nader niewielu tylko narodów znajdziemy”. Te walory twórczości naszego największego komediopisarza sprawiają, że utwory jego możemy oglądać na ekranie telewizyjnym. Oglądaliśmy „Zemstę”, „Śluby panieńskie” i wreszcie „List”. Nie można powiedzieć, aby komedie tego autora należały do łatwych w realizacji telewizyjnej. Fredro jest za bardzo teatralny, aby można go było przenieść na ekran kinowy (czego przykładem film „Zemsta” Bohdziewicza), na małym ekranie pokazać go też nie jest łatwo z tego samego względu. Zadania tego podjęła się „gościnnie występująca” w naszym ośrodku Maryna

Broniewska. Reżyserowany przez nią „List” należał do tradycji już dobrych przedstawień Teatru Popularnego. Broniewska dołożyła wszelkich starań, by tracąca już masyką komedia nie nudziła widzów. Stosowała maksymalną ilość zbliżeń, by nie pozwolić oglądającemu na rozprosenie uwagi. W dobrej realizacji tego spektaklu pomogli jej w dużym stopniu aktorzy. Udało im się trafić w typy frederowskie, co w tym wypadku grało decydującą rolę. Z wyraznym przywróceniem oka potraktowała Bohdana Majda rolę Celiny jak również resztę postaci Marian Nowicki i pozostała część zespołu aktorskiego, co dało zresztą doskonałe wyniki. Janusz Kłosński kreujący główną postać, Orgona, czuł się lepiej w drugiej części spektaklu. Zdzisław Jóźefowicz jako Zdzisław stworzył postać sympatyczną przekonywającą i bardzo frederowską. Podkład muzyczny zaskoczył mnie od początku przedstawienia. Sologno na kontrabasie w żaden sposób nie pasowało do komedii Fredry. W czasie spektaklu przyzwyczaiłem się do niego, ale uważam, że nie było to najlepsze rozwiązanie muzyczne przedstawienia. Szkoda, że nie podtrzymano tradycji świetnego opracowania muzycznego

„Kongresu we Florencji”. Reasumując był to spektakl starannie przygotowany i mimo drobnych niedociągnięć można go zaliczyć do udanych premier Teatru Popularnego.

Tak więc mamy nareszcie utwór sceniczny w TPT. Jak wygląda porównanie z adaptacją? Na osąd trzeba jeszcze poczekać. Wybór komedii Fredry został podkrytywanym obecną porą roku i dobrze się stało, że sięgnięto właśnie po zwarty dramatycznie „List”. Bardzo płynną linię repertuarową nakreślił kierownik Teatru Popularnego Jerzy Antczak. Stwierdził on, że zadaniem TPT jest „nieść za sobą najwyższe wartości humanistyczne i najbardziej uniwersalne wartości moralne”. Ta koncepcja nie budzi zastrzeżeń, chodzi o teatr wielkich wzruszeń i wielkich emocji, o teatr uśmiechów i łez. Czy dotychczasowe premiery TPT odpowiadały tym założeniom? Na pewno tak. Toteż należy życzyć Teatrowi Popularnemu utrzymania się w dalszym ciągu na obecnym wysokim poziomie.

TADEUSZ WIĄCEK

odgłos

str. 11

ODGŁOSY

tygodnia

MILIONY DO WZIĘCIA

117 pracowników z 43 zakładów przemysłu lekkiego zamieszkałych w dzielnicy Górna ma otrzymać mieszkania z kwaterunku. Przeciętą zagęszczenia ich obecnych pomieszczeń wynosi 5 osób na 1 izbę. I właściwie można by się tylko cieszyć, że tylu ludziom poprawią się warunki mieszkaniowe, gdyby nie fakt następujący, skłaniający do refleksji.

Zakłady zatrudniające przyszłych mieszkaniowców szczęśliwców mają kwoty z funduszu zakładowego przeznaczone na budownictwo mieszkaniowe. Kwoty każdego poszczególnego zakładu nie są duże, razem stanowią jednak miliony. W sumie — 40 milionów złotych przeznaczonych przez te zakłady, na budownictwo mieszkaniowe nie będzie w tym roku wykorzystane. Ich pracownicy, jak się rzekło, otrzymają „z kwaterunku”.

Na pewnej konferencji postulowano stworzenie jednego ośrodka dyspozycyjnego dla wszystkich łódzkich zakładów, który by skupiał w swym ręku pieniądze poszczególnych przedsiębiorstw i za nie budował, zwracając wpłacającym równowartość włożonych kwot w postaci mieszkań. **Pojedyńczy zakład ma bowiem za mało, aby na własną rękę rozpocząć budowę.** Pomysł piękny, pesymiści twierdzą jednak, że rzecz nie w pieniądzech, a w budulec i mocy przerobowej przedsiębiorstw budowlanych. Brak rąk do pracy w budownictwie i określona ilość materiałów budowlanych limitują wielkość budownictwa. Skupienie zakładowych, rozproszonych sum przeznaczonych na mieszkania nie tu nie pomoże.

Nie znamy się na tym, ale sygnalizujemy sytuację w swoim rodzaju anormalną. Jeżeli nie można ich wykorzystać, to po co przeznaczać pieniądze na budownictwo mieszkaniowe? Żeby się nazywało, że są?

KTO PIERWSZY — TEN LEPSZY

Od maja ubiegłego roku pasażerowie PKP korzystają z nieomalgo przywileju: prawa rezerwowania miejsc. Oplata jest zgola minimalna — 5 zł za „miejscówkę” w pociągu pospiesznym komunikacji krajowej i 10 zł w komunikacji międzynarodowej i ekspresowej. Warunek: „miejscówkę” trzeba wykupić razem z biletem. Usługa dla ludzi zapobiegliwych i planujących. Już na 30 dni przed podróżą kto pierwszy może sobie wybrać siedzenie przy oknie, drzwiami lub „między”, z biegiem pociągu lub odwrotnie, w przedziale dla niepalących lub odwrotnie. Wygoda podróży zapewniona, ryzyko w razie niemożności odbycia jej nikłe — kolej zwraca w takim wypadku za bilet, potrącając 10 procent jego ceny tytułem kosztów manipulacyjnych.

Rezerwowanie miejsc jest dobrodziejstwem dla pasażerów w ogóle, a dla ludzi chorych, udających się w daleką podróż np. do sanatoriów — w szczególności. Kolej, mająca z tą usługą wiele zawracania głowy, znajduje też jedną korzyść: możliwość przewidywania frekwencji, planowego kształtowania wielkości składu pociągów, uruchamiania „bisów”, zmniejszenia zatłoczenia w okresach szczytów, jak obecnie.

„Miejscówki” wprowadzono prawie we wszystkich pociągach pospiesznych dalekobieżnych. Łódź dysponuje około 600 „miejscówkami” dziennie, we wszystkich kierunkach. Liczba ta nie jest sztywna. W razie potrzeby i w porę daje się telegraficznie wykukać i więcej.

Po roku można z czystym sumieniem napisać, iż impreza PKP, mająca zresztą od początku ręce i nogi, cieszy się powodzeniem. Kolosalnym u warszawiaków, którzy wykupują 100 proc. miejsc już na 30 dni przed wyjazdem, nie mniejszym i u łódzian, z tym że ci szturmuja sympatyczny personel Biura Rezerwowania Miejsc z p. Januszem Domańskim na czele, dopiero na 2-3 dni przed wyjazdem, co ani jednym ani drugim życia nie ułatwia.

SZTURMOWANIE MÓZGÓW

Tak nazywa się jedna z metod zespołowego obmyślenia ulepszeń, stosowana w przemyśle amerykańskim. Zmierzano o nią przełamania bariery nawykowych, szablono-nych rozwiązań określonego zadania.

Najbardziej nowatorskie idee początkowo robią niekiedy wrażenie niedorzecznych lub utopijnych pomysłów. Dlatego też na konferencji „szturmowania mózgow” nikt się niczemu nie dziwi i w pierwszej fazie nikt nie ma prawa rozbienia krytycznych uwag. Zaprasza się niewielką, kilku lub kilkunastoosobową grupę ludzi mających coś do powiedzenia w danej sprawie. Po postawieniu przez przewodniczącego jednego wąskiego problemu przewidziana jest kilkanaście bądź kilkadziesiąt minut na lakoniczne i szybkie rzucanie przez zebranych wszystkich przychodzących im na myśl pomysłów, ogólnych idei rozwiązań danego problemu. Idee te zapi-

suje się na tablicy jedna pod drugą bez poddawania ich natychmiastowej ocenie i dyskusji. Zadaniem przewodniczącego jest stworzenie zupełnie swobodnej atmosfery, która sprzyja nieskrępowanemu wypowiadaniu wszystkich nasuwających się pomysłów — banalnych, fantastycznych, komicznych, nawet absurdalnych. Cenne pomysły wcale nie muszą mieć krystalizowanej formy. I tak np. na jednej z konferencji tego typu, której tematem były sposoby łączenia dwóch drutów padł m. in. projekt: przytrzymać druty zębami. Gdy później poddano go pod rozwagę uczestnikom, od razu nasuwały się pomysły: zastosować zębaty zacisk.

Druga metoda zespołowego obmyślenia ulepszeń jest również ciekawa. Pragnąc znaleźć nowatorskie rozwiązanie jakiegoś zadania nie mówi się o nim wprost zebranej grupie inżynierów. Rozpoczyna się od dyskusji

Tarasowstręt

Ten oryginalny neologizm ma pokrycie w rzeczywistości. Każda z łódzkich kawiarni broni się, jak może, przed uruchomieniem tarasu w porze letniej. Jedną wreszcie — „Agawa” — została widać do tego zmuszona, ale i jej kierownictwo potrafiło się wykpić od obowiązku. Dość często, nawet w niedzielę, gości wita napis: „dziś taras nieczynny z powodu choroby personelu”.

Swoją drogą, nie możemy odmówić słuszności kierownikom kawiarni — przecież starają się o nasze zdrowie, nie dopuszczają, byśmy marnotrawili czas w zakopconym powietrzu miasta. Co innego, kiedy ludzie zmuszeni w ten sposób, spędzają czas na balkonach — to już ich „prywatna inicjatywa”.

na temat jakiegoś ogólniejszego pojęcia leżącego u podstaw problemu, który należy rozwiązać. Np. gdy chce się skonstruować nowy rodzaj klucza do otwierania puszek, stawia się pod rozwagę i dyskusję problem „otwierania” i omawia wszelkie możliwe jego sposoby. Ten sposób ma ustrzec inżynierów przed szablono-nymi skojarzeniami związanymi z konkretnym przedmiotem ulepszeń, sprzyja powstawaniu skutecznych rozwiązań i przenoszeniu tych rozwiązań z jednej dziedziny do drugiej.

Te metody, które cytujemy za Z. Pietrasińskim („Psychologia sprawnego myślenia”), polecamy zakładowym kołom NOT. „Szturmowanie mózgow” zwane także w Ameryce „konferencją do- brych pomysłów” (brainstorming conferences) mogły być bardzo interesujące w polskim wydaniu, a może i pożyteczne.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Foto: A Kobyliński

DŹWIĘK DAJE WYDECH

Biuletyny dla terenowych działaczy kulturalnych, wydawane przez wojewódzkie Domy Kultury, zostały poddane ocenie specjalnej komisji językoznawców. Oto ciekawsze „kwiatki” z wielu dostrzeżonych przez komisję:

„Może nastąpił spadek zainteresowania społeczeństwa produktami zespołów amatorskich w formie przedstawień”.

„Liczne zapytania tłumnie zalegających salę słuchaczy”.

„Pierwsze próby prawidłowego oddychania wyglądają tak: dyrygent liczy np. do 6, do dwóch ma nastąpić prawidłowy i głęboki wdech, a na 3, 4, 5 i 6 — wydech względnie już zaśpiewa chór dźwięk w średnicy, przystępny do zaśpiewania dla wszystkich, ażeby głosowo nie sprawiał trudności z zastosowaniem sylab najprzystępniejszych do wymowy”.

„Zadaniem funkcji zastępczej jest rozszerzenie zakresu kształcenia, biorąc pod uwagę konieczność posiadania wiedzy”.

„Dźwięk daje wydech, który musi poprzedzać wdech”.

„Z koordynacją tą było trochę polemik i rozmów czasem nieprzyjemnych”.

„Wśród chłopców w wieku lat 15-17 zdecydowaną przewagę mają filmy, sztuki i opowiadania sensacyjne”.

„Myśl, dusza i oddech to środki, tworzące słupy, na których opiera się mocna budowa głosu”.

Komisja wzięła pod uwagę 4 biuletyny z województw: łódzkiego, gdańskiego, wrocławskiego i białostockiego. Ogółem zakwestionowano 733 zdania, z których wiele zawierało po 3 lub 4 błędy. Najlepiej wypadła Łódź z zakwestionowanymi 70 zdaniami, Białystok miał 4 razy więcej.

Publikujemy powyższe ku przestrodze małkontentów, którzy narzekają na język naszej prasy. Oto widmo prasy, redagowanej przez amatorów-dyletantów. Na szczęście, z ludzi kulturalnych, biuletyny czytają tylko działacze kulturalni.

Redaguje Zespół a Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” a Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 44-79 a Warunki prenumeraty: miesięcznie 2 zł., kwartalnie 4 zł. a Redakcja nie zamawia kopii rękopisów nie zwrotne. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe. abonosze oraz PRIPK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” Druk: RSW „Prasa” — PA-47 7 wiatki 17 a Zam. 1916. VII. 62. A-4

ŚMIECH TO ZDROWIE

Od pewnego czasu przed klientami barów mlecznych otworzyły się nowe możliwości. Na widocznym miejscu, w każdym barze wisł obecnie wielka tablica pod tytułem „Waga i jednostka miary dań”.

Innowacja to o tyle zabawna, że — po pierwsze — w jaki sposób konsument ma z tablicy korzystać? Sprawdzając przed zjedzeniem wagę zupy? Porównując, czy masło użyte do usmażenia jednego jajka ważyło rzeczywiście 5 g, do dwóch jajek — 10 g, a do trzech jajek 15 g? Czy waga jabłka w cieście wynosiła faktycznie 14 dkg? A kasza gryczana z masłem, czy istotnie ważyła 27 dkg?

Dopóki więc Dykcja Przedsiębiorstwa „Bary Mleczne” nie zainstaluje małych, przenośnych wag i probówek — korzystanie z tablicy będzie mocno utrudnione.

Tymczasem jednak każdy konsument może porównać co innego. Mianowicie, może porównać ilość potraw wymienionych na tablicy — z tą, jaką naprawdę spotykamy w łódzkich barach mlecznych. Czy ktoś kiedyś jadł w Łodzi „marchewkę glazurowaną”? A „paszteciki koreańskie z rodzynkami i ryżem”? Lub „fasolę szparagową po mazursku”? Względnie „pieczarki z rosół”? Samych potraw z ryżu wyliczono na tablicy aż osiem — wobec absolutnego ubóstwa kuchni i minimalnej różnorodności dań, jakie naprawdę możemy otrzymać — tablica służy wyłącznie do rozśmieszania klientów przed posiłkiem.

Co zresztą ma znaczenie zdrowotne.

Z MORSKIEJ PIANY

Wzdłuż najruchliwszego odcinka Piotrkowskiej krąży od paru tygodni pewna pani obwiszona sznurami nieżnobiałych koralu. Z całą powagą i nie pozwalającą na sprzeciw pewnością na pytania klientów i klientki: a z czego to? — odpowiada — z morskiej piany. Byliśmy świadkami rozmowy, w której jakiś pan wyraził pewne zastrzeżenia co do przypisywanego koralom rodzaju surowca. Sprzedawczyni rzekła na to z dezaprobatą: pan tego nigdy nie zrozumie, szkoda czasu, a one są naprawdę z morskiej piany...

Ostatecznie, sposób rozumowania prawidłowy — skoro Venus mogła wyłonić się z morskiej piany, mogą i koralu. Za 15 zł sznureczek. Kupców dużo. W erze stalowych sputników przyjemnie mieć coś tak lekkiego i poetyzowanego jak koralu z morskiej piany.

Swoją drogą sami jesteśmy ciekawi, jaki to rodzaj tworzywa sztucznego i kto te koralu robi? Są nieomal pozabawione wagi i wcale nie brzydkie.

Nie zostawiać głowy w tramwaju

W ubiegłym roku łódzianie pozostawili w tramwajach ściśle 3.006 najróżniejszych przedmiotów. Oczywiście, bierzemy pod uwagę tylko te, które trafiły do biura rzeczy znalezionych MPK.

Najczęstszymi zgrabami są teści, parasolki, portmonetki, woreczki z pantofkami gimnastycznymi, czasem zegarki, portfele z zawartością do 2 tysięcy złotych, a nawet rowery — prawdopodobnie kradzione przez wyrostków.

Przedmioty, po których odbiór zgłaszają się poszkodowani, stanowią zaledwie czwarta część wszystkich odniesionych przez konduktorów. Reszta podlega licytacji. Co roku skarb państwa — z bogactw się ta droga o mniej więcej 10 tysięcy złotych. Oto króciutki wypis z listy licytacyjnej: portmonetka, rękawiczki, nożyce do cięcia blachy, walizka, koszula, spodnica, patelnia żelazna, okulary, różanec, pas skórzany wojskowy.